

2/2016

EQUESTRIA TIMES

11



*Wywiad z Tostem
„O smoku, co bzy ronil”*

*Co Mnie Wku**ia W Fandomie
„Co tym razem gryzie autora?”*

Grzechy KB

„Zepsuty eliksir ponifikacyjny”

Brohoof!

Za oknem ciepły maj, piękny okres wiosny. My zaś pragniemy wam przekazać najnowszy numer "Equestria Times" z równie piękną Roseluck na okładce. A w numerze takie perełki jak wywiad z Tostem, twórcą, można by rzec, legendarnych „Smoczych łez”, albo seria rozważań odnośnie uniwersum The Conversion Bureau. Zaś dla tych, co lubią prywatne rozważania, mamy dosłownie wysyp felietonów, pośród których są debiutanci w tej formie publicystyki. Tym, którzy połączą się na ocenę „Girl und Panzer” i postanowią sami obejrzeć to anime, ślę ostrzeżenie. Zastosujcie jakikolwiek środek przeciwbólowy – od apapu, poprzez dużą ilość cydru, kończąc na opuszczeniu cegły na stopę. Zaufajcie mi, oszczędzi wam to bólu mózgu. A teraz pióro wędruje do kolejnego autora...

» Macter4

... Który zdecydowanie odradza branżę oglądaniem "Girls und Panzer". Tu istnieć może jak to mówią nasi sąsiedzi ze wschodu "nie bieriesz" (czy jakoś podobnie). Natomiast przez przedmówcę rzeczy, udało nam się zgromadzić sporo fanfików. Numer jest zdecydowanie – zdarzył się cud, rozstały się wody – nych efektów specjalnych i redakcyjnych. A dzięki obecnemu wysypowi udało nam się nieco przekroczyć średnią dwudziestą wiek. Nie wiem jak Wy, ale nam się wydaje, że w salcesonach to całkiem niezły wynik – dziękujemy czytelnikom, którzy jednak mimo wysiłków. DZIĘKUJE-MY!



facebook mlppolska

Wykorzystano prace autorów:
Aymint
Flerfarvet

Redaktorzy naczelni – Do
Redaktorzy wicenaczelni
Redaktorzy – Matyas Co
Korektorzy – solaris, Kan
Gościnnie – Poulsen, Usa
Dział techniczny – Piskla

My Little Pony Friendship is
Redakcja Equestria Times ni

Spis treści

Wieści ze świata.....	4
RECENZJE	
Princess Celestia Hates Tea.....	6
Earth & Sky.....	7
Great Big Sky.....	8
Zawód Diamentowy Pies.....	9
Anonimowi Frontoholicy.....	10
Spadająca Gwiazda.....	11
MANUFAKTURA	
Hail to the king.....	12
PUBLICYSTYKA	
Zgryźliwego Tetryka wykopaliska na YouTube.....	13
Twórczość otoczona Barierą.....	15
Grzechy TCB.....	18
Głęboka Hiperanaliza Serialu.....	21
Wywiad z Tostem.....	23
Co Mnie Wku**ia w Fandomie.....	27
Redakcyjna ocena odcinków.....	28
FELIETONY	
Śmierć autorytetom.....	32
O pracy słów kilka.....	33
Rozważania Zgryźliwego Tetryka: Zmiana postrzegania.....	34
Słowo o organizacji fandomu.....	35
Na wojennej Ukrainie.....	36
POZOSTAŁE	
Zgryźliwy Tetryk Poleca: Przegląd Gier Przedpotopowych.....	38
CMC Zdobywają Swoje Znaczkę.....	40
Recenzja „Batman vs Superman: Dawn of Justice”.....	45
Recenzja cyklu „Z Mgły Zrodzony”.....	47
Lone Survivor – recenzja gry.....	49
Film „Deadpool” – recenzja.....	50
Film „Ant-Man” – recenzja.....	52
Neon Genesis Evangelion.....	53
Girls und Panzer.....	55
FANFIK	
Sunriser.....	62
ARTYSTYCZNY MIX	
Komiksy.....	66

» Dolar84

Dolar84, Macter4
– Verlax, Cahan
rra, Zodiak, Falconek, Ghatorr
nisha, Gandzia, Souls, Tornado, Geralt of Poland, aTOM
zatka, Ares Prime, KingofHills
kozaur, Gabol, MLO, FrozenTear7

Magic i Hasbro są zastrzeżonymi znakami towarowymi Hasbro Inc.
e ponosi odpowiedzialności za treść reklam zamieszczonych w magazynie.

M.A. Larson odchodzi



15 marca potwierdziła się informacja, że M.A. Larson odszedł z ekipy MLP. Największą sławę przyniósł mu Twilicorn, ale należy pamiętać o innych odcinkach, które fandom uwielbia, jak np. „Slice of Life” lub „Luna Eclipsed”. Jedyne, co nam zostaje, to powiedzieć: dziękujemy i powodzenia.

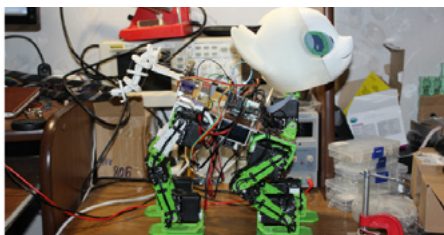
Data premiery filmu MLP

Znamy dokładną datę premiery pełnometrażowego filmu z kucykami w roli głównej, czyli 6 października 2017. Jest to odrobinę wcześniej niż mówiły to wcześniejsze komunikaty.

Fandomowe projekty

Nie powiem nic nowego, jeżeli stwierdzę, że ludzie w naszym stadzie tworzą ciągle i dużo. Całkiem sporo tych inicjatyw jest warte dostrzeżenia, dlatego postaram się, by w wieściach ze świata miały one stałe miejsce. Trafiać będą tutaj informacje, na które sam trafię w internecie, choć jeżeli ktoś się ze mną skontaktuje (Macter4 na MLPPolska), to na pewno też o tym napiszę. Ponieważ ten wstęp jest trochę przydługi, w tym wydaniu wspomnę tylko o jednym projekcie, który mnie osobiście dość mocno zaciekawił:

Sweetie Bot Project



Zakłada on zbudowanie w pełni funkcjonalnego kucykowego robota. Aktualnie jest etap pierwszego z 3 prototypów jakie zamierza zbudować autor. Zaś gdy plan się powiedzie, wszystkie plany i kod źródłowy, będą dostępne w wolnej licencji.

WIEŚCI Z PONY CONGRESS

Ponycongress 2016 to jedyna taka impreza w Polsce i Europie, na której będzie można posłuchać najnowszego albumu od Michelle Creaber i Gabriel Brown pod tytułem Getting Stronger. Na konwencji będzie też można oczywiście kupić wydanie płytowe, a wydanie elektroniczne można dostać już teraz.

Zagadka rozwiązana! Tajemniczy manuskrypt, który widzicie poniżej został rozszyfrowany przez Rc a hasło, które jest odpowiedzią to: PCG Elbląg. Chcesz wiedzieć jak poprawnie rozszyfrować? Wejdź na naszą stronę i obejrzyj film, w którym Szósty pokazuje, jaka droga jest do rozwiązania.

Chcesz pomóc konwentowi i przy tym dobrze się bawić? A może chcesz prowadzić jakąś interesującą prelekcję? Wypełnij już teraz formularz na naszej stronie i dołącz do naszego zespołu śmiałków już dziś!

Pamiętajcie, aby śledzić naszego [Facebooka](#) oraz [Twittera](#). Warto zaglądać też na naszą stronę internetową, gdyż tam informacje pojawiają się wcześniej niż na wydarzeniach! Do zobaczenia już za mniej niż 2 miesiące!



for glorious
questria

<http://www.fge.com.pl/>

NIE MOŻESZ SPAĆ PO NOCACH? NUDZI CI SIĘ? MASZ ZA DUŻO WOLNEGO CZASU?
MASZ DZIWNE POGLĄDY I CHCESZ SIĘ NIMI PODZIELIĆ Z LUDŹMI
KTÓRZY MAJĄ JESZCZE DZIWNIEJSZE?
NIE SZUKAJ DALEJ. TO JEST MIEJSCE DLA CIEBIE.



KUCYKOWYTEAMSPEAK.PL

NASZ TEAMSPEAK ZAPEWNIĄ:

PRZYJAZNE ŚRODOWISKO - TOLERANCYJNYCH UŻYTKOWNIKÓW.

WYKWAŁFIKOWANĄ ADMINISTRACJĘ, KTÓRA ZAWSZE ZNAJDZIE DLA CIEBIE CZAS.

NIEZAPOMNIANE ROZMOWY O SENSIE ŻYCIA - WIELE KANAŁÓW TEMATYCZNYCH.

KAŻDY ZNAJDZIE U NAS COŚ DLA SIEBIE :)

"PONIES... PONIES NEVER CHANGE."

Fallout
EQUESTRIA PL

**ROBIONE PRZEZ IDIOTÓW,
DLA IDIOTÓW.**

FALLOUT-EQUESTRIA.PL



[Comedy]

Princess Celestia Hates Tea

Autor: Skywriter

Wszyscy widzieliśmy, iż w serialu **Księżniczka Celestia raczy się herbatą i wygląda jakby bardzo jej ten napój smakował. A co jeżeli to tylko gra pozorów?**

» *Dolar84*

Życie koronowanej głowy nie jest lekkie. Myślałby kto, iż władczyni może robić co jej się tylko podoba i raczyć się samymi frykasami, które idealnie wpasowywałyby się w jej gusta i smak, zarówno jeśli chodzi o jadło, jak i napoje. A to niestety nieprawda – czasami trzeba robić coś zupełnie wbrew sobie, tylko po to by dogodzić gawiedzi. Jak to się ma do tego opowiadania? Bardzo prosto – każdy mieszkaniec Equestrii, od najmłodszego źrebaka po najbardziej zramolałego starca wie, iż Pani Słońca kocha herbatę. Zwyczajnie ją uwielbia i spożywa ten napar przy każdej możliwej okazji. Ba! Również zagraniczni dygnitarze są świadomi tego faktu, dlatego często przywożą jej w darze rozmaite egzotyczne mieszanki herbaty, byle tylko wkupić się w jej łaski. Wszystko idzie gładko aż do pewnego dnia, w którym Księżniczka Celestia postanawia postawić na swoim i stwierdzić, iż tak naprawdę nie lubi herbaty. A dokładniej iż rzeczony napój wzbudza w niej jedynie wstręt i obrzydzenie. Kiedy jednak dowiadują się o tym jej poddani, zaczyna się prawdziwy cyrk... O tym jednak musicie już przeczytać sami.

Recenzowane tu opowiadanie jest komedią – co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Autor wyraźnie chciał utruć plot Ceśce i wyszło mu to nad podziw dobrze – problemy, jakie przed nią mnoży, miejscami są naprawdę przezabawne – szczególnie kiedy do gry wchodzi Twilight. Jednak mimo dosyć lekkiego tonu i gagów poruszony został pewien ciekawy problem. Kto w końcu panuje w Equestrii? Celestia czy jej poddani? Po lekturze tego opowiadania można się nad tym całkiem poważnie zastanawiać. Skoro władczyni ulega presji opinii publicznej w tak błahej sprawie jak picie herbaty, to czy zdołałaby postawić na swoim w poważniejszych kwestiach? Naturalnie w tekście jest to celowo przejawskrawione do granicy absurdu, jednak pomysł na komediowe przedstawienie relacji królowa-królestwo uważam za całkiem ciekawy. W sumie można by go porównać do sytuacji, gdzie Elżbieta II zamiast swoich corgi zaczęłaby wyprowadzać na spacer stadko kotów – ciekawe czy w Zjednoczonym Królestwie też by z tego powodu wybuchła panika?

Jeżeli chodzi o styl pisania, to jest on lekki i przyjemny w odbiorze. Można się pośmiać, a problemów ze zrozumieniem oryginalnego tekstu nie powinien mieć nikt, kto w miarę nieźle operuje językiem angielskim. W takim razie czy jest to opowiadanie wybitne? Nie, tego bym nie powiedział. Ale bez problemu mogę je zakwalifikować do fanfików, których lektura może poprawić nastrój w przykry dzień.



[Adventure][Comedy][Romance][Slice of Life]

Earth & Sky

Autor: Warren Hutch

Zazwyczaj z góry zakłada się, że sequele są gorsze od oryginału. Jednakże opowiadanie, którego recenzję mam zamiar wam przedstawić, jest jednym z wyjątków od tej reguły i to wcale nie dlatego, że jest ponad dziesięć razy dłuższe od pierwowzoru.

» *Poulsen*

Swego czasu moją uwagę przyciągnęła krótka historia pod tytułem „Windfall”, będąca przyjemnym [Slice of Life] dziejącym się kilka lat w przyszłości względem wydarzeń z serialu. Była zabawna i napisana z pomysłem, dlatego też ucieszyłem się, kiedy po jakimś czasie znalazłem jej kontynuację. Było nią właśnie „Earth & Sky”.

Opowiadanie to jak mało które zawiera dokładnie to, co napisano w tagach. Mamy więc świetny, przygodowy wątek główny, kilka wątków romanсовых, sceny z codziennego życia postaci oraz przede wszystkim końską dawkę humoru. Całość opiera się z grubsza na pomysle podobnym do filmu „Ci wspaniali mężczyźni w swych latających maszynach”, nie będę jednak spojlował nawet najmniejszej jego części. Fabuła jest tutaj zbyt soczystym kąskiem, aby ją ujawniać.

Pojawiające się postacie to przede wszystkim Mane 6 oraz ich rodziny, jak również spora liczba postaci epizodycznych i tzw. tła. Osób stworzonych przez autora jest tutaj niewiele, zawsze jednak są interesujące. Na szczególną uwagę zasługuje tutaj

niejaki Otto, dostarczający czytelnikom masy śmiechu, a fabule nielichych zwrotów akcji. Wszystkie postacie przedstawione są w dobry sposób, a ich wzajemne relacje są siłą napędową fanfika. Autor wykonał kawał świetnej roboty, nierzadko zaskakując oryginalnymi pomysłami.

Opowiadanie zawiera kilka charakterystycznych cech, właściwych dla twórczości autora (polecam zapoznać się zresztą jego dzieł). Pierwszą jest wspaniały, kwiecisty, bogaty język, jakiego używa w swoich tekstach. Zarówno styl, jak i stosowane słownictwo stoją na najwyższym poziomie i są prawdziwą ucztą dla czytelnika – o ile czytelnik bardzo dobrze zna język angielski. Drugą typową dla tego autora cechą jest brak homoseksualnych shippingów. W całym, długim na 265 tysięcy słów fanfiku nie ma ani jednej pary jedno płciowej, co jest dość nietypowe jak na twórczość fandomu MLP. W tekście wyraźnie widać, że zamiast tego autor kładzie nacisk na tradycyjne wartości, wielodzietne rodziny itd., jednakże absolutnie nie jest to wada. Wręcz przeciwnie, sprawia to, że historia ta wyróżnia się na tle innych, bardziej „fandomowych” opowiadań.

Podsumowując, jeśli szukacie długiego, przygodowego fanfika zawierającego liczne shippingi, szeroką plejadę ciekawych postaci oraz masę humoru, to „Earth & Sky” jest właśnie dla was. Jeżeli nie znacie angielskiego na tyle, żeby cieszyć się bogatą warstwą językową opowiadania, to się go zwyczajnie nauczcie – naprawdę warto!



[Adventure][Sad]

Great Big Sky

Autor: Shortskirtsandexplosions

Czasami trafiają się takie opowiadanie, które czyta się przyjemnie, a mimo to trudno coś o nich napisać. Oto jedno z nich.

» *Dolar84*

Skąd ten początkowy pesymizm? Myślę, że sporą zasługę ma tutaj osoba autora recenzowanego tekstu. Było nie było, shortskirtsandexplosions jest najbardziej znany ze swoich gigantycznych fanfików, takich jak „Background Pony”, „End of Ponies” czy serii „Austraeh”. Nie oznacza to, że nie pisze krótszych form – ma ich około setki – jednak niewiele zyskało aż taką popularność. „Great Big Sky”, o którym piszę, należy właśnie do tych, które przeszły niemalże bez echa – w końcu co to dla niego 294 oceny pozytywne?

W każdym razie fabuła jest dosyć prosta – Applejack, goniąc za swoim kapeluszem, trafia do innego świata. Całkiem specyficznego, gdyż składa się on z tytułowego wielkiego nieba, po którym krążą niewielkie wyspy. Tych, którzy spodziewają się tam niesamowitych przygód z udziałem ulubionej farmerki, muszę srodze zawieść – autor ukazuje go nam jedynie na mgnienie oka, po czym razem z bohaterką wracamy do szarej rzeczywistości. W tym właśnie momencie kończy się pierwsza część magii tego opowiadania, a rozpoczyna druga, kto wie czy nie ważniejsza. Rozmowa Applejack z Granny Smith odkrywa przed nami sedno

fanfika. Pokazuje nam, że bezproblemowo można się tak zatracić w jakiejś czynności, że nie potrafimy dostrzec świata poza nią. Pytanie i wynikająca z niego rada, jakie starsza klacz kieruje do wnuczki, są proste – „jaki ma sens ciągłe pracowanie na życie, skoro w ogóle się z tego życia nie korzysta?”. Ale już zastosowanie się do tej rady... wbrew pozorom wymaga to sporej ilości nawet nie pracy, ale samozaparcia. A wszyscy wiemy, że Applejack to przykładowa wręcz pracowolizka.

Chociaż to ta rozmowa, jak wspomniałem powyżej, może być uznana za sedno opowiadania to nie sposób ominąć doskonałych opisów, które zaserwował nam autor. Są plastyczne, żywe i niesamowicie działają na wyobraźnię – mówiąc szczerze, sięgnąłem po to opowiadanie właśnie po zobaczeniu okładki i przeczytaniu informacji, iż to ona zainspirowała shortskirtsa do stworzenia tego tekstu. Cóż – od zawsze miałem słabość do latających wysp. Forma jak zwykle jest nienaganna, a użyty język odpowiedni do treści. Czy zrozumie go każdy? Wydaje mi się, że jedyną ewentualną trudnością mogą być rozmowy toczone pomiędzy starszymi generacjami rodu Apple. W końcu ich akcent jest tak twardy, że można by nim ściany kruszyć – i to widać. Natomiast problemy ze zrozumieniem reszty nie powinny występować już u osób, które angielski znają nieźle. W każdym razie polecam to opowiadanie. Może i nie jest wybitne, ale na pewno warto je znać.



[Oneshot][Sci-fi][NLR vs SE]

Zawód Diamentowy Pies

Autor: Gandzia

Nowa nadzieja faników? Imperium Gandzi kontratakuje? Powrót pisarza? Przebudzenie diamentowych psów? Wszystkie te określenia powinny pasować do "Zawodu Diamentowy Pies" – opowiadania poświęconego losom psiego najemnika w trakcie wielkiej, galaktycznej wojny między Nową Republiką Lunarną rządzoną przez Lunę a Imperium Solarnym pod władzą Celestii, w klimatach stanowczo przypominających sagę Gwiezdných Wojen.

» *Ghatorr*

Rex Terrier jest dumnym wojownikiem, walczącym o jak największe wypełnienie swojego konta w banku i o usunięcie z galaktyki jak największej liczby szumowin (przy czym z reguły słowo to oznacza osobę, która podpadła komuś, kogo stać na wysoką nagrodę). Poznajemy zaledwie drobny wycinek jego losów – przeprowadzenie w sumie dwóch zleceń, z czego jedno to usunięcie kochanki za pieniądze zazdrosnej żony (co okazuje się być trudniejsze niż początkowo się wydawało), zaś drugie to wysoce niebezpieczne zadanie w samym sercu wrogiego terytorium. Jako śmiały i odważny (anty)bohater nie cofa się przed żadnym wyzwaniem, szczególnie jeśli jego trudy zostają mu osłodzone przez wysokie kwoty pieniędzy. Nie da się go nie pokochać – to sympatyczny, dowcipny (choć często jest to humor czarny jak serce polityka), nieco złośliwy i brutalny (ale w rozsądnych ilościach i wobec osób, które na to zasłużyły)

typ rzezimieszka, który od razu przywodzi na myśl połączenie Boby Fetta z Hanem Solo (co jest o tyle zabawne, że skuczona wersja tego drugiego też tu występuje).

Pozostałe postacie są równie dobrze zaprojektowane i – razem z opisami i akcją – odpowiadają za świetny klimat. Nieważne, czy mowa tu o sztucznej inteligencji ze statku Terriera, która potrafi w środku zlecenia przypominać mu o mandatach, czy o jego koleżance po fachu, Sharpshooter – każdy tu jest ciekawą jednostką, która urealnia ten świat. Wszystko tu doskonale do siebie pasuje, łącznie z postaciami kanonicznymi, które z jednej strony przypominają swoje wersje serialowo-fandomowe, a z drugiej zostały wzbogacone o elementy powiązane z tym uniwersum.

Ale najlepsza jest tu zwarta, żywa akcja, dzięki której przez 19 stron opowiadania przedziera się na jednym tchu. Te pościgi, te strzelaniny, te wybuchy! Co chwilę coś się dzieje, ale wszystko jest na tyle wyważone, że chaos nie ma nawet szans, by się tu zakraść.

Wady? Trudno tu o jakiegokolwiek. To zwarty, żywy kawał akcji, który spełnia wszystkie wymagania, jakie można mieć od tego typu opowiadań. Gandzi spłynęło z klawiatury opowiadanie, które powinno przypaść do gustu każdemu, kto czytał choćby jego Kozaków. Szkoda tylko, że to zaledwie one-shot...



[TCB][Random][Comedy]

Anonimowi Frontoholicy

Autor: Ghatorr

Kolejny raz na łamach „Equestria Times” będę recenzować opowiadanie z cyklu Czerogodzinki. Kolejny raz mamy do czynienia z fanikiem, w którym Ghatorr wyśmiewa się z pewnych klisz charakterystycznych dla uniwersum Biur Adaptacyjnych. I cóż, pozostaje mi tylko powiedzieć, że znowu zrobił to dobrze. Tekst bawi, szczególnie osoby obeznane z tematem, jednak nawet ci, którzy po raz pierwszy spotkają się z TCB powinni odnaleźć w tej historii dużo radości.

» *Cahan*

Sama koncepcja tej krótkiej komedii polega na tym, że konwertyci, czyli ludzie przemienieni w kuce są nie do końca zadowoleni z takiego stanu rzeczy. W typowym TCB zawsze znajdzie się grupa, która uważa, że przemiana w kuca pierze mózgi, jest dobra dla słabych, oznacza zdradę rasy, Boga, matki, babci i chomika. Jej przedstawiciele zazwyczaj miłują się w długich monologach o przeznaczeniu ludzkości i jej nadrzędnej funkcji na świecie. Przy tym zachowują się jak emo, jeśli są ofiarami losu i nie mogą przypakować, albo jak agresywni narodowcy, jeśli na kondycję nie narzekają. Takie jednostki działają pojedynczo lub jako Front Obrony Ludzkości, któremu czasem przeciwstawia się Ponyfikacja Dla Odnowy Ziemi. Jedni i drudzy to banda popaprańców. W faniku Ghatorra przemienieni w kuce członkowie FOL tworzą tajne spotkania przypominające te, jakie odbywają Anonimowi Alkoholicy. Podczas nich

narzekają, jak to źle jest być kucem, ale starają się nie przesadzić... bo jeszcze Celestii się zrobi przykro.

„Anonimowi Frontoholicy” pięknie wyśmiewają kliszę walczącego o swój umysł FOLowca, który w końcu się wyrwa i wspiera ludzkość, mordując kuce. Jako osoba, która wiele razy czytała tak częsty dla Biur Adaptacyjnych pseudofilozoficzny bełkot, naprawdę doceniam to, w jaki sposób się z nim rozprawiono w tym faniku. Wątpię, by dało się zrobić to lepiej i w bardziej komiczny sposób. Dlatego uważam to opowiadanie za wyborną komedię na wieczór czy podróż autobusem.

Choć fanfik napisany jest poprawną polszczyzną, a styl autora określiłabym mianem lekkiego i przyjemnego, to przyczępię się paru kwestii kosmetycznych. Niestety, ale formatowanie pozostawia wiele do życzenia. Brakuje też półpauz w dialogach, a pewne przerywniki zostały wstawione w sposób nieprawidłowy. Nie umniejsza to jednak radości płynącej z lektury i jest tylko drobnym zgrzytem.

Jeśli jesteś fanem TCB lub po prostu szukasz krótkiej, lekkiej komedii, to koniecznie sięgnij po „Anonimowych Frontoholików”. Jeśli uważasz, że Biura Adaptacyjne są głupie, to ten tekst i tak powinien ci się spodobać. Ja to opowiadanie ze swojej strony gorąco polecam. Bez wątpienia opowiadanie jest godne poświęcenia tych dziesięciu minut życia, jakie są potrzebne na jego przeczytanie.



[Sci-Fi][Human]

Spadająca Gwiazda

Autor: Arkane Whisper

W całej szerokiej ofercie fandomowej twórczości fanfikowej nieco zaniebanym poletkiem są opowiadania w klimacie science fiction, a zwłaszcza temat eksploracji kosmosu. Nie ma w tym nic dziwnego, bo i kanoniczne kucyki w niewielkim stopniu interesują się przestrzenią kosmiczną i koncepcja manualnego sterowania ciałami niebieskimi przez księżniczki skutecznie niszczy wszelkie plany podróży międzyplanetarnych. Dla mnie powieści sci-fi z lat '60 i '70, a więc z czasów powszechnego optymizmu co do podboju przestrzeni kosmicznej, to jedna z ulubionych rzeczy w literaturze, dlatego też z zainteresowaniem sięgnąłem po fanfika, który (być może nieświadomie) nawiązuje do takiego klimatu.

» *Falconek*

W "Spadającej Gwieździe" znajdziemy motyw nieobcy fanom twórczości Clarke'a, Heinleina czy nawet wczesnego Zajdla, a więc nurtu zwanego dziś rocketpunkiem. Mamy tu więc ludzkość, która eksploruje odległe zakątki kosmosu w celach badawczych, statek kosmiczny z załogą, której członków definiują przede wszystkim role pełnione przez nich w zespole (pilot, inżynier, badacz...) i rutynową misję międzyplanetarną, która zaczyna iść źle, kiedy załoga wykrywa anomalie na swojej drodze.

Oczywiście anomalią jest planeta zamieszkała przez pastelowe czworonogi, a to, co pozornie można by

uznać za przeszkodę w pisaniu kosmicznego fanfika o kucykach, czyli sposób, w jaki Celestia i Luna radzą sobie ze wschodami i zachodami słońca, staje się źródłem kłopotów załogi statku kosmicznego i osią fabuły zarazem.

Rzecz jest sprawnie napisana i czyta się przyjemnie pomimo tego, że zdecydowanie wymaga interwencji korektora. Akcja jest wartka, opiera się na interesującym pomysłem i bez zbędnych dygresji prowadzi czytelnika wprost do rozwiązania. Osobowości bohaterów nie są zbyt rozbudowane, ale to standard dla gatunku. Dialogi są oszczędne, ograniczane protokołami komunikacji radiowej. W końcu jesteśmy na statku kosmicznym w kryzysowej sytuacji i nie ma tu miejsca na kwieciste przemowy. Jeśli chodzi o sam statek kosmiczny, to autor zdecydował się na jeden z ciekawszych i rzadziej wykorzystywanych pomysłów, zabrakło jednak większej szczegółowości w jego opisie. Wprawdzie ilość detali technicznych nie pozwala zapomnieć, gdzie toczy się akcja, jednak daleko tu do "Odysei Kosmicznej: 2001" czy "Obcego", gdzie statki kosmiczne były niemalże bohaterami samymi w sobie. Z wydarzeniami na statku kontrastuje sielska atmosfera planety kucyków (tak, część akcji obserwujemy z perspektywy kolorowych koni).

Ogólnie "Spadająca Gwiazda" przypomina nieco krótkie opowiadania sci-fi, które ukazywały się kiedyś na łamach "Młodego Technika". Lubitem je i również praca Arkane Whispera przypadła mi do gustu.



[Comedy][Human]

Hail to the king

Autor: Qwapdo

Kiedy Cadance i Shining są na skraju załamania nerwowego, kamienie okazują się stanowić prawdziwą władzę w Kryształowym Imperium, a Celestia przechodzi na dietę, to nowy, lepszy Sombra dopiero się rozkręca! Niestety, mniej więcej w tym samym momencie opowiadanie zostaje przerwane. Nagły koniec tekstu jest jak zderzenie się ze ścianą przy szybkiej jeździe samochodem – co prawda bolesne, ale przed chwilą przeżywało się jedne z najlepszych chwil swojego życia.

» *Ghatorr*

“Hail to the king”, jedna z najlepszych komedii, jakie w życiu czytałem, zaczyna się niewinnie – dusza głównego bohatera podąża do wrót raj. Odczuwa nienaturalną błogość, wita go łagodne, piękne światło, już ma wstępować na schody prowadzące do jego celu – gdy nagle tajemniczy, mroczny byt odpycha go z drogi tylko po to, by samemu móc dostać się do schodów. Na tyle zaburza to wniebowzięcie protagonisty, że ten opada... i ląduje na środku lodowego pustkowia, w nietypowym dla niego ciele. Co prawda najpierw wydaje mu się, że jest kozą, ale szybko stwierdza, że jednak jest kucykiem, otaczająca go rzeczywistość to świadomy sen, on sam jest w śpiączce – i rusza na spotkanie przygód!

Główny bohater nie jest bronym. Ba, nie wie o istnieniu “My Little Pony”. Co za tym idzie,

nieświadomie wprowadza chaos i zamieszanie, przy okazji zagrażając zdrowiu psychicznemu kanonicznych postaci. To, co następuje po jego przebudzeniu w Equestrii to przezabawny ciąg niefortunnych wydarzeń, w trakcie którego czytelnik dowie się m.in. dlaczego Kryształowe Imperium tak naprawdę jest litokracją, czy księżniczka Luna może sprowadzić bezsenność, które miasto w Equestrii jest odpowiednikiem Detroit albo co kryje się pod koroną Sombry. Co najważniejsze – wszystko jest napisane tak dobrze, że mimo straszliwie długich rozdziałów (odpowiednio – 12 tysięcy słów, 15 tysięcy, 20 tysięcy, 30 tysięcy) akcja się nie dłuży. Najwięcej komizmu wynika z nieświadomości protagonisty odnośnie tego, w czym ciele się znajduje i dlaczego otoczenie reaguje na niego z rezerwą. Po drugiej stronie barykady znajduje się książęca para Imperium, która z mieszanymi uczuciami odnotowuje, że król powrócił – i jest zwariowany jak historia przynależności państwowej Palestyny.

Biorąc pod uwagę sympatyczne i realistyczne (jak na komedię) postacie, wartką akcją, dawki humoru grożące zabiciem czytelnika śmiechem oraz świetny styl, trudno mi znaleźć wady tego opowiadania... poza faktem, że jest niedokończone. Niestety – ostatnia aktualizacja była w grudniu 2014 i żadna od tamtego czasu się nie pojawiła. Ale i tak warto zerknąć.

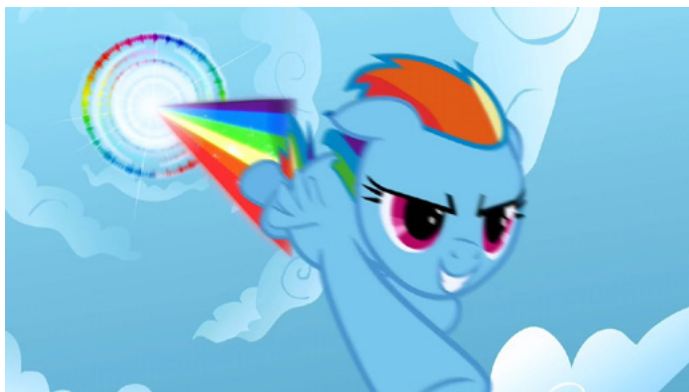
Zgryźliwego Tetryka wykopaliska na YouTube

Część 3

Kolejny numer, kolejne wykopaliska. Tym razem niewielka porcja, no ale zawsze lepsze to niż nic.

» *Dolar84*

You're Gonna Go Far Kid [PMV]



W tym odcinku zaczniemy nie od fandomowej piosenki, ale od jednego z najstojniejszych PMV, jakie kiedykolwiek powstało. Jest krótkie, szybkie i wyjątkowo żywiołowe. Nic dziwnego, skoro wzięto do niego piosenkę zespołu Offspring oraz Rainbow Dash. Lekkie... złagodzenie wokalu sprawiło, że brzmi to niemal tak jakby rzeczywiście śpiewała to pewna latająca, wielokolorowa paskuda. Autor, TheSlutfox, nieźle przyłożył się do roboty – widać to po scenach, jakie wyciął z serialu, by wrzucić je do swojego tworu. Nie da się ukryć, że pasują do tak... żywej melodii. Patrząc na to obecnie, można się dziwić, jakim cudem odniósł taki sukces – w końcu

później pojawiło się o wiele więcej rzeczy, które stopniem skomplikowania wielokrotnie przewyższyły prezentowane tu PMV. No właśnie – słowo klucz to „później”, gdyż „You're Gonna Go Far Kid” siedzi na YouTube już od 2011 roku, czyli stanowi swego rodzaju prehistorię fandomu. A o tym jak jest popularne niech świadczy fakt, iż przez ten czas nabiło ponad 22 miliony wyświetleń.

The Brony Song



Tak się złożyło, że w 2012 roku grupa tworząca parodie znana jako Random Encounters wzięła sobie na celownik nasz fandom. Zebrali silną grupę pod wezwaniem, z pomysłem przerobili tekst „This Day Aria”, zaopatrzyli się w kucykowe gadżety i wzięli się za nagrywanie piosenki. Efekt jest... dobry. Nawet bardzo dobry. Co prawda ich twór nie osiągnął jeszcze miliona wyświetleń, ale niewiele mu do tego brakuje – byłoby to jak najbardziej zasłużone wyróżnienie. Na nagrany

teledysku widać, że śpiewający bawili się świetnie, a przy okazji w pozytywny sposób pokazali jak pi razy oko wygląda fandomowa rzeczywistość. Nie wiem jak Wy, ale ja lubię czasami wrócić do tej piosenki, która mimo amatorskiego wykonania naprawdę ma coś w sobie.

The Brony Song 2



Skoro opisałem pierwszą z parodii Random Encounters, to w sumie można od razu przypomnieć i drugą. Tym razem radosna grupa wzięła na cel ponymeety i przerabiając znaną nam wszystkim piosenkę "At the Gala", postanowiła przybliżyć ludziom, co też się na tych spotkaniach dzieje. Trzeba przyznać, iż ponownie wyszło im to bardzo dobrze – tekst jest zabawny, muzyka przyjemna dla ucha (nie żeby to było coś dziwnego), a teledysk nakręcony z pomysłem – widać, że mieli przy nim naprawdę dużo zabawy. Co prawda drugie podejście do fandomu MLP nie zyskało takiej popularności jak ich debiut, ale na pewno warto o tym utworze pamiętać. Przynajmniej od czasu do czasu.

Octavia



Jako przedostatni utwór postanowiłem przypomnieć fenomenalny wytwór artysty kryjącego się pod pseudonimem Evening Star. Ów artysta specjalizował się w dosyć... epickich

utworach – inaczej trudno to naprawdę nazwać. Mieliśmy takie, które mogłyby podrywać w bój wojsko, jak również nieco spokojniejsze. Przypominana tu "Octavia" należy właśnie do tego drugiego typu. Spokojne brzmienia i łatwo wpadająca w ucho melodia to idealny wybór, kiedy człowiek ma ochotę usiąść spokojnie i troszkę się zrelaksować – tylko odradzam zbyt wygodne fotele, bo możecie bardzo łatwo razem z muzyką odpłynąć do krainy Orfeusza! Przyznaję, iż jestem nieco zdziwiony, że ten kawałek zdobył jedynie nieco ponad pół miliona wyświetleń i mam nadzieję, że postaracie się nieco podwyższyć ten wynik – naprawdę warto!

PMV At The Opera Tonight



Na koniec przybliżę Wam kolejne PMV. Ścieżkę dźwiękową wzięto z dosyć... specyficznego filmu „Repo! The Genetic Opera” z 2008 roku. O nim samym krąży wiele opinii, w większości negatywnych, ale mi jakoś przypadł do gustu wykreowany w nim mroczny świat. W każdym razie Man3shark wyciął nieco scen z serialu oraz innych animacji i wspaniale podłożył je pod mroczną melodię. Osobiście uważam, że najlepiej wyszły mu fragmenty, w których występują Rarity oraz Iron Will, chociaż również inne postacie mają tu swoje ważne role. No i Nightmare Moon jako Repo-man pasuje wprost idealnie.



Twórczość otoczona Barierą

Czy kiedykolwiek chciałeś napisać opowiadanie, w którym z niewiadomych powodów Equestria trafia na Ziemię, ludzie dostają możliwość zmiany w kucyki, a przyszłość obu gatunków ulega drastycznej zmianie? Jeśli tak, to gratuluję – trafiłeś na (prawdopodobnie) odpowiedni artykuł. Jeśli nie, to i tak możesz zostać i przeczytać – a nuż ci się zachce. Ewentualnie poczujesz się dogłębnie zniesmaczony samą ideą tego rodzaju opowiadań i będziesz wiedział, czego unikać w przyszłości.

» *Ghatorr*

Dawno, dawno temu w odległej Ameryce powstało pierwsze opowiadanie z biurami adaptacyjnymi. Było nienajlepszej jakości – kuce były idealizowane, a ludzie przedstawiani jako zło na dwóch nogach, opisy były kiepskie, dostarczało mało szczegółów odnośnie świata... Ostatecznie sam autor, niejaki Blaze, wyraził skruchę, że je napisał. Najważniejsze jednak było coś innego – opowiadanie nigdy nie zostało dokończony, pozostawiając spore pole do interpretacji. Wiadomo było, że ludzie mogą się zmieniać w kuce przy użyciu eliksirów i istnieje nieokreślona Bariera oddzielająca Equestrię od Ziemi. Zmiana gatunku? Zagrożenie ludzkości? Filozoficzne przemyślenia na temat tego, co nas określa jako osoby? Temat był interesujący i dawał spore możliwości, został więc niemal od razu podchwycony przez innych pisarzy.

Z samej natury takiego “wybuchniętego” podgatunku, w którym każdy może stworzyć własny kawałek bez oglądania się na innych autorów, wynikły liczne problemy z ustaleniem kanonu, który jest bardzo luźny i składa się nie tyle z określonych elementów, co z motywów, które mogą, ale nie muszą wystąpić. Jedyną stu-procentowo pewną rzeczą, jaka musi wystąpić w opowiadaniu, by uznać je za fik biurowy, musi być dokonywanie przemian ludzi w kuce przy użyciu eliksiru. Ostatecznie opowiadania zostały pogrupowane w “uniwersa” charakteryzujące się podobnymi prawami, przebiegiem wydarzeń czy najważniejszymi postaciami. Każde z nich w jakiś sposób odnosi się do najbardziej rozpowszechnionych problemów i terminów w TCB – takich jak np. charakter Bariery oddzielającej Equestrię od Ziemi czy rodzaju eliksirów.

Przede wszystkim, zaczynając od podstaw, należy zwrócić uwagę na występowanie eliksirów. W większości wypadków podstawowym rodzajem jest eliksir o smaku winogronowym, który zmienia człowieka w kuce losowej rasy i o odpowiadającej mu płci. Niedługo później pisarze wymyślili eliksiry pozwalające na przemianę w klacz (wiśniowy) lub ogiera (jagodowy), niezależnie od początkowej płci ludzkiego pacjenta. Ostatecznie jednak ich liczba się poszerzyła, wypączkowując m.in. pozwalające na zmianę w żrebaki, gryfy, diamentowe psy, zebry... pozwoliło to też na załatanie jednej z dziur fabularnych, mianowicie reakcji innych

gatunków w Equestrii na ponifikowanie ludzi. Czy reagowaliby z obawą? A może same zostały skonwertowane? Istnienie innych eliksirów pozwala na ustalenie, że same się dołączyły do dzieła przeobrażenia ludzkości na obraz i podobieństwo Equestrii.

THE CONVERSION BUREAU

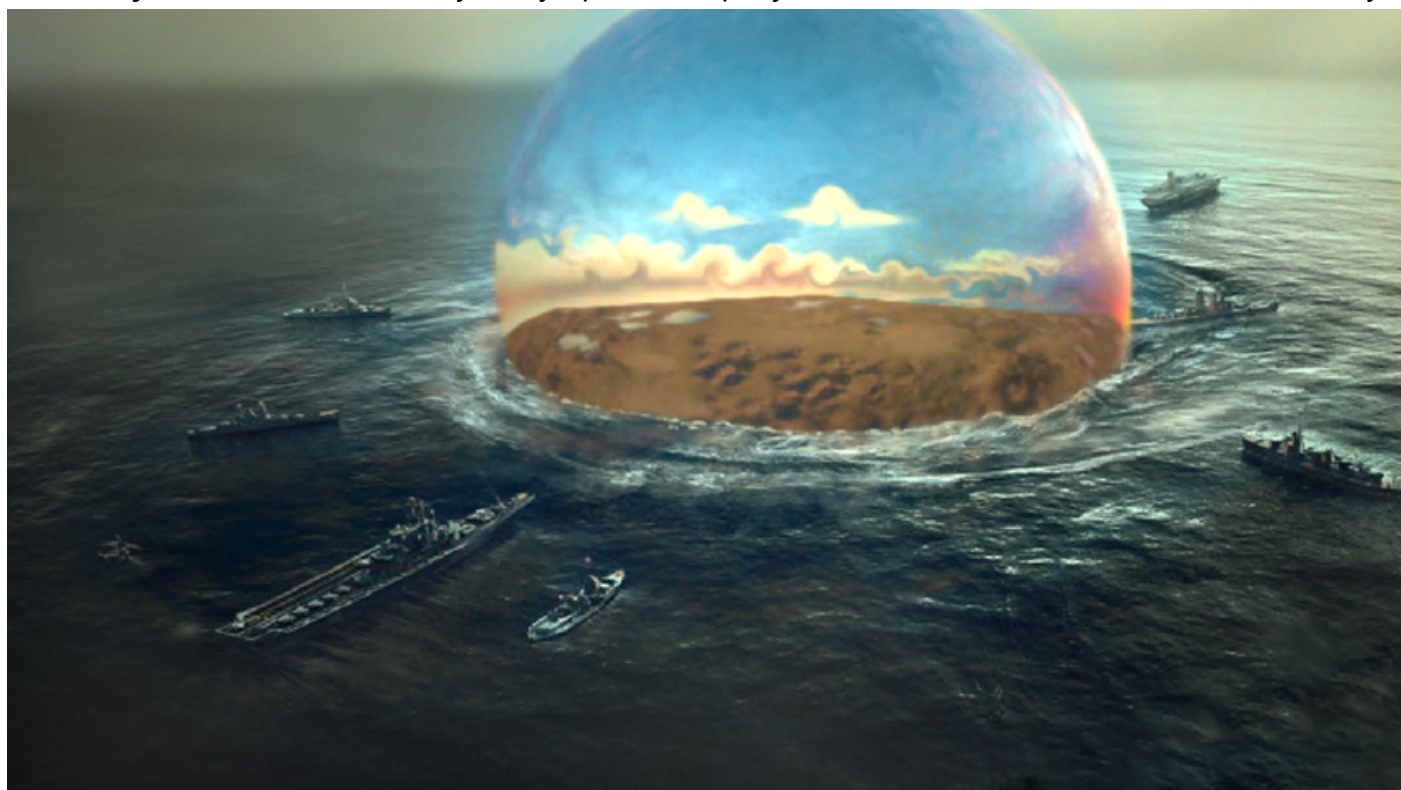


After drinking a whole barrel of the serum... Ghatorr just couldn't even.

W oryginalnym fiku nie ustalono wpływu przemiany na psychikę. Stwierdzono, że konwertyci wydają się być szczęśliwsi niż jako ludzie – i tyle. Ze względu na to praktycznie każdy autor musi ustalić przy pisaniu bardziej szczegółowe zmiany umysłowe przy konwersji. Czy kuce są po prostu naturalnie radośniejsze? A może eliksir i ponifikacja wymuszają szczęście, przeobrażając konwertytę w uśmiechnięte zombie? Ile po przemianie w kucu jest człowieka, którym był przed-

tem? Z reguły im bardziej fanfik ma być pozytywny, tym zmiany są mniej inwazyjne. Najmroczniejsze przypadki z kolei zawierają np. kompletne wymazywanie pamięci (jak w "Grayscale", gdzie kuce szczerze starają się pomóc ludziom przeżyć, tylko nienajlepiej im to wychodzi) czy zmianę człowieka w niewolnika Celestii, z wypranym mózgiem i złamaną wolą, żyjącym tylko by walczyć i umrzeć dla Equestrii.

Drugą sprawą kluczową do utworzenia własnego uniwersum TCB jest ustalenie rodzaju i zasad działania Bariery. Przy tej wielkiej, magicznej ścianie z reguły należy sobie zadać dwa pytania – jak wielki wpływ na Bariere mają kucyki (szczególnie księżniczki) oraz jak bardzo niszczyielska jest. Pozwala to na określenie ogólnego nastroju. Im bardziej naturalna jest Bariera (np. jako bariera między wymiarami albo ochrona przed wyciekiem magii na Ziemię) i im mniejszą rolę w jej utworzeniu mają kuce, tym bardziej ułatwione jest przedstawienie Equestrian jako pozytywnych bohaterów. Z kolei jeśli księżniczki tworzą Bariere celowo, to z reguły kończy się to ponifikacyjnym dżihadem przeciwko ludzkości. Odnośnie jej destrukcyjności – powszechnie przyjęte jest, że Bariera się rozszerza, niszcząc wszystkie ludzkie dzieła na swojej drodze, i jest niemożliwa do zniszczenia. Oczywiście, zdarzają się wyjątki – dla przykładu w "Not Alone" ludzie zniszczyli



Barierę utworzoną przez księżniczki przy użyciu artylerii. Powstał też fik, w którym sama Twilight Sparkle pomaga ludziom ją zniszczyć, tylko po to by odkryć, że bez niej magia w equestriańskim wymiarze rozplynęła się po Ziemi, zabijając wszystkich ludzi.

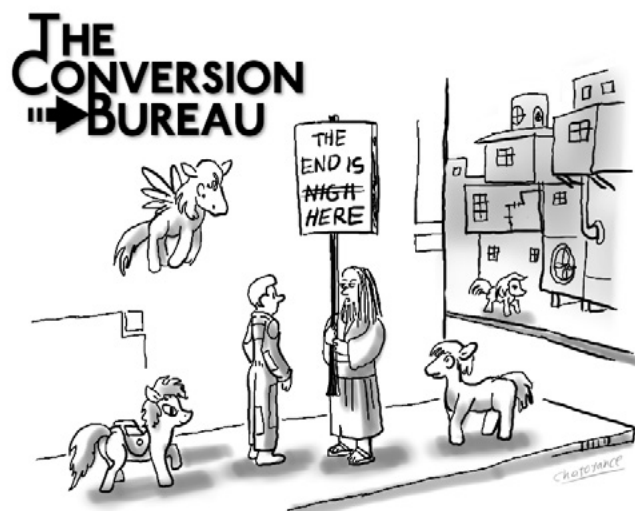
Podsumowując temat Bariery – prawdopodobnie najoptimistyczniejszym uniwersum byłoby takie, w którym takowa nie istnieje/nie rozszerza się, przez co nie zagraża istnieniu ludzkości, a najbardziej pesymistycznym – takie, w którym Bariera jest celowo używana przez Celestię do zmuszenia ludzkości do ponifikacji.

Z kwestii bardziej ludzkich, praktycznie od samego początku istnienia TCB w opowiadaniach opisywano istnienie grup przeciwnych ponifikacji, nadając im ostatecznie nazwę FOL – Front Obrony Ludzkości (w oryginale HLF – Human Liberation Front). Zakres ich siły zależy od autora – czasami są ledwo grupą wyrostków z bejsbolami i kamieniami, a czasami doskonale wyposażoną i zorganizowaną siłą, która jest w stanie przejmować całe kraje (z reguły Rosję). Drugą podstawową organizacją występującą w fikach biurowych jest POZ – Ponifikacja dla Odnowy Ziemi – której celem jest siłowa ponifikacja ludzi. Tu również ich siła i pozycja waha się w zależności od każdego uniwersum – z reguły są pozbawieni wsparcia Equestrii i uznawani za terrorystów równych FOL, czasami jednak (w bardziej mrocznych dziełach) przyjmują rolę ludzkich kolaborantów służących Celestii. Obie te organizacje reprezentują ekstremalne postawy i nawet jeśli część ich poglądów w danej sytuacji wydaje się być słuszna (np. bo Equestria i tak atakuje Ziemię, więc FOL ma solidne podstawy, by działać), to i tak ich działania są prezentowane jako ekstremistyczne, bo np. chcą zabijania nawet tych kuców, które pomagają ludziom (przykłady – "The Other Side of the Spectrum", "Not Alone").

Poza tymi dwiema podstawowymi organizacjami czasami istnieją poboczne, np. Stowarzyszenie Przetrwania Ludzkiej Kultury czy Kuce dla Ludzi. Celem ich istnienia jest zazwyczaj utworzenie bardziej neutralnej opcji albo złagodzenie negatywnego wizerunku

któregoś z gatunku – dla przykładu, w fiku "The Other Side of the Spectrum", gdzie Equestria prowadzi wojnę z ludzkością, istnieje grupa kuców współpracujących z ludźmi.

Ostatnią ważniejszą kwestią, jaką musi ustalić każdy pisarz planujący pisać w klimatach Biur Adaptacyjnych we własnym uniwersum, musi być konkretny powód, dla którego ludzie się ponifikują. W większości opowiadań jest to pod mniejszym lub większym przymusem – ludzkości grozi wyginięcie. Do ustalenia jest powód – czy może zza Bariery wycieka magia, która zabija ludzkie komórki? A może po prostu Bariera się ciągle rozszerza, niszcząc ludzką cywilizację, i nie można jej zatrzymać? Jeśli to magia zabija ludzi, to czy to oznacza, że np. przebywanie w pobliżu jednorożców jest toksyczne? I tak dalej.



On the whole it turned out a lot less... doomy... than I expected.

Już same te cztery kwestie potrafią, w odpowiednich kombinacjach, pozwolić na otrzymanie takiego nastroju czy fabuły, jakich wymaga pisarz. Świat Biur Adaptacyjnych jest szeroki i wciąż mało zbadany – dla przykładu, próbowano napisać opowiadania poświęcone kucom wodnym, ale zostały porzucone. Można eksperymentować z gatunkami, w jakie zmieniają się ludzie, z Barierą i jej wpływem na ludzkie postawy, można zamieszać w kotle ekonomiczno-politycznym, zastanawiać się, jak masowe konwersje wpływają na samą Equestrię... Szwedzki stół o nazwie TCB jest wciąż pełen i można z niego brać do woli.



Grzechy TCB

Tępi, stereotypowi złoczyńcy przypominający parodię nazistów lub członków Ku Klux Klanu? Są. Kompletna wyższość moralna jednej ze stron, sięgająca Himalajów absurdu? Jest. Pogarda wyglądająca nieśmiało z każdego słowa? Jest. Zaskakujący homo-romans postaci, które poznały się dwa dni temu? O, to coś nowego...

» *Ghatorr*

Biura Adaptacyjne to wspaniałe uniwersum oferujące ogromne możliwości. Niestety, jest powód, dla którego nie jest tak popularne, jak powinno być – mianowicie ten bezmiar idei i przemyśleń, który można zaprezentować poprzez Biura, straszliwie łatwo zatruć, przez co nawet najlepsze dzieło może okazać się – praktycznie dosłownie – niestrawne. W języku polskim znany jest zwrot o "łyżce dziegciu w beczce miodu" – w wypadku wielu opowiadań biurowych mowa jednak nie o jednej nędznej łyżce, a o kilku. Albo całym dzbanku. W ekstremalnych wypadkach może się zdarzyć, że miodu nie ma, a dziegieć aż się wylewa. Łatwo przewidzieć, co potem z tego wynika – oskarżenia o mizantropię, nazizm, chęć rozpętywania shitstormów i inne tego typu nieprzyjemności.

Bądź co bądź, Biura Adaptacyjne traktują z reguły o Ziemi, która jest zagrożona zniszczeniem. O zagładzie całego świata oraz

ludzkości. Nie jest to temat łatwy i rzeczy, które można by wybaczyć innym dziełom tutaj urastają do podobnej rangi co zabójstwo arcyksięcia Franciszka Ferdynanda – czyli zaproszenia do wojny na śmierć i życie, na szczęście "zaledwie" internetowej.

Najprostszym przykładem może być demonizacja jednej ze stron. Popularna stała się mizantropia, która została sztandarowym grzechem Biur Adaptacyjnych. W sytuacji, gdy cała ludzkość w opowiadaniu ma (najprawdopodobniej) zostać unicestwiona jako gatunek, wszelkiej maści narzekanie wszem i wobec na stan naszej rasy może zostać łatwo zinterpretowane jako nienawiść do niej. Nabiera to szczególnej wagi gdy łączy się to jeszcze z idealizacją Equestrian. Wygląda to dość absurdalnie – prowadząc, na przykład, do sytuacji, w których każda postać choćby narzekająca na fakt ksenocydu i zagłady całej cywilizacji najprawdopodobniej okaże się później złowrogim złoczyńcą, knującym przeciwko miłującym pokój i harmonię kucykom i do tego pewnie jeszcze czczącym Hitlera i Stalina. Dochodzi do tego kolejny problem – jeśli na okropny stan ludzkości narzeka kuc, usprawiedliwiając tym samym konieczność sponifikowania naszego gatunku, to nie brzmi jak mądry przedstawiciel wyższej cywilizacji, jak chcieliby niektórzy pisarze – a jak nazista tłumaczący, dlaczego obowiązkiem dziejowym Niemców jest pozbycie się Żydów. Sytuacja

staje się naprawdę zła, jeśli tego typu poglądy wychodzą z ust postaci z serialu. Psucie charakteru kanonicznych bohaterów zawsze jest błędem, ale w tym wypadku dodatkowo prowadzi do jeszcze większego odrzucenia czytelnika.

Zaliczyłbym do tej kategorii jeszcze celowe psucie Ziemi w okresie tuż przed przybyciem Equestrii – poprzez, dajmy na to, sprowadzenie na nią zimy nuklearnej czy zjednoczenie jej pod władzą złowrogich korporacji, wybicie większości roślin i zwierząt, połączenia się wszystkich religii świata w skorumpowany kult i ogromne bezrobocie.

Można wymyślić naprawdę multum powodów, dla których Biura Adaptacyjne mogłyby powstać, i nie trzeba specjalnie dorzucać ludzkości i Ziemi wad.

Drugą stroną medalu jest przedstawianie kuców jako połączenie III Rzeszy z Borgiem, asymilujących świat ku chwale czystości rasowej, Celestii (w tym wypadku często określanej przez czytelników jako "Xenolestia") lub czegoś podobnego. Fiki powiązane tematycznie z biurami adaptacyjnymi, ale przedstawiające je jako bohaterską walkę ludzkości z najeźdźcą, zaczęły powstawać w reakcji na publikację fików oskarżanych o mizantropię, do tego ich popularność szybko zaczęła rosnać. Dzieła takie jak "Not Alone" czy "New Tactics" okazywały się nawet niezłe, muszą jednak wspomnieć o jednym – przedstawianie kucyków w złym świetle potrafi sprawić, że dane opowiadanie przestanie wyglądać na powiązane w jakikolwiek sposób z MLP. Dotyczy to przede wszystkim faników poważnych – przy parodiach z reguły nie stanowi to wady. Możliwe jest uniknięcie tego wszystkiego poprzez zadbanie o to, by Equestrianie mieli solidne powody, inne niż "bo ludzkość jest gorsza od nas" albo "bo Celestia kazała", do rozpoczęcia siłowej ponifikacji ludzkości (jak np. w cyklu Rated Ponystara, składającym się z one-shotów "Negotiations", "Reunited" i "Truth"), albo przedstawienie kuców jako podzielonych wokół tej

kwestii. Dla przykładu, w "Not Alone" działa grupa kucyków przeciwstawiająca się ponifikacji, a w "The Other Side of the Spectrum" istnieją dwie Equestrie – jedna dobra, znana z serialu, i druga zła, w której władzę sprawuje alternatywna Celestia.

Drugim grzechem – często łączącym się z opisaną wyżej demonizacją – jest idealizacja jednej z dwóch stron, z reguły po to by zmanifestować jej pełne prawo do zdominowania drugiej. Equestrianie w takim wypadku są chodzącymi ideałami, które nie są w stanie skrzywdzić muchy, żyją w pełnej harmonii ze sobą i z naturą, są cały czas szczęśliwe i kochające, a ich rodzima kraina jest stworzona specjalnie tak, by wszyscy mieszkańcy żyli jak pączki w maśle. Żeby nic nie zaburzało przy tym tego sielskiego obrazu, przemilcza się z reguły kwestie takie jak np. serialowe złe kuce (zaczynając od Trixie czy Flima i Flama, a kończąc na Sombrze) czy istnienie potworów. Z kolei przy idealizowaniu ludzi niemalże zawsze pojawi się nawiązanie do obrony Termopil bądź Alamo, stwierdzenie o walce do samego końca, czasami jeszcze nadnaturalne zdolności. Demonizacja jednej ze stron nie musi się równać idealizowaniu drugiej, ale taki pakiet występuje zadziwiająco często.



Naprawdę, wiele można zrozumieć – mizantropię, wkurzenie na kuce, idealizację pewnych postaw – ale pragnę zauważyć, że powieść tendencyjna wypadła z mody w latach 70-tych XIX wieku i jedyne, co można osiągnąć poprzez powyższe grzechy, to albo:

a) wkurzenie czytelników poprzez demonizację ludzkości – w końcu wszyscy jesteśmy ludźmi!

b) wkurzenie czytelników poprzez demonizację kuców – w końcu wszyscy lubimy MLP!

Czasami jednak niektórzy autorzy celowo do tego dążą. Nietrudno w ten sposób osiągnąć kłótnię, przyjmującą czasami katastrofalne rozmiary. Najlepszym przykładem jest oryginalna grupa TCB z fimfiction – która, w związku z powstawaniem fików demonizujących kuce, wypączkowała osobną, specjalnie dla fanów tego typu opowiadań, a następnie sama się podzieliła na dwie mniejsze – skupione wokół różnych autorów. Nie pomógł w tym fakt, że w odpowiedzi na jedno z opowiadań, opowiadające o próbie wysadzenia Xenolestii w powietrze, napisano alternatywne zakończenie, które skupiało się na opisie, jak dobra i kochana Celestia wybacza głównemu bohaterowi, który z płaczem pojmuje bezmiar ludzkich zbrodni i przyjmuje ponifikację.

Określenie tego, co nastąpiło potem mianem "shitstormu" byłoby porównywalne ze stwierdzeniem, że Himalaje są sporym pagórkiem.

Podsumowując, Biura Adaptacyjne są rodzajem fików wymagającym szczególnej uwagi i delikatności przy pisaniu. Łatwo zmienić je w manifest własnych poglądów, tak subtelny jak walnięcie łopata w twarz, albo prymitywną strzelankę. Zalecam osobiście przy pisaniu robienie dwóch testów – po

pierwsze, jeśli dowolna przemowa wygląda jak wyjęta z ust członków NSDAP, a nie jest to efekt zamierzony, to prawdopodobnie kogoś to zdenerwuje; po drugie, jeśli ma się problemy z wymyśleniem, jak ludzkość powinna realistycznie zareagować na kucyki – wyobraź sobie, że zamiast Equestrian na Ziemi pojawiają się oślizgłe stwory z Aldebaranu V i oferują ludziom Aldebaranizację, bo jakaś wielka katastrofa ma zniszczyć Ziemię, ale nie są w stanie nas uratować w ludzkiej formie. Gdy już to sobie wyobrazisz, to wtedy – ewentualnie – można dodać sporo cukru i Pinkie Pie.

I może... tylko może... uniknie się wtedy awantury.





Głęboka Hiperanaliza Serialu

Tożsamość Królowej Chrysalis

Poczwarzka jest jedną z ciekawszych postaci w całym MLP. Królowa podmieńców wyróżnia się nie tylko oryginalnym wyglądem, ale i swoistą aurą tajemniczości. Nie wiadomo co robiła przed atakiem na Canterlot ani jak wygląda jej codzienne życie. Komiksów nie da się tu traktować jako źródła informacji, ponieważ wielokrotnie rozmijały się już z kanonem serialu. Choć wizja, według której podmieńce to zaczarowane komary, jest niewątpliwie zabawna, to jednak trzeba ją raczej odrzucić.

» *Cahan*

Alikorn z legendy

Pamiętacie odcinek z shipem Big Mac x Cheerilee? Poznajemy w nim legendę o ogierze, który nie mógł wyrwać kłaczy, więc postanowił dodać jej pigułki gwałtu do picia... tzn. napoił ją eliksirem miłosnym, który okazał się być trucizną miłosną, a że to nie była miłość, to królestwo upadło i takie tam. A co to ma do Krysi? Do legendy dodano rycinę, na której znalazła się m.in. wspomniana księżniczka. Alikorny w serii są czymś rzadkim, a owa pannica ma skrzydła i róg, tak samo jak królowa podmieńców. Co prawda skrzydła podmieńców są owadzie, ale to zwaliłabym na spaczenie. Księżniczka spożyła truciznę miłosną, a Chrysalis żywi się miłością. Czyżby podmieńce były efektem końcowym działania tego specyfiku? Spaczone toksyczną miłością, wypaczone, pragnące tego, co mają tak blisko, a jednocześnie tak daleko.



Może kokony podmieńców mają wyssać z kucyków prawdziwą miłość i przekształcić je na swój obraz i podobieństwo? W końcu ta zielona maź musi czemuś służyć. Ładnie nie wygląda, więc raczej nie do ozdoby. Unieruchomienie? Proszę, po co podmieńce miałyby unieruchamiać swoich żywicieli? W kokonie ciężko o miłość, czyli karmę, więc to wszystko musi mieć jakieś drugie dno. Jeśli tak, to co może je powstrzymać prócz dekapitacji? Spalenie żywcem? Bomba atomowa? Pocałunek prawdziwej miłości?

Nekromancja

Nie wiem jak dla was, ale jak dla mnie Chrysalis wygląda jak nieumarła. Dziury w nogach, kły jak u wampira, grzywa i ogon czegoś, co właśnie wygrzebało się z grobu. Złe gadzie oczy, trochę jak u opętanej Luny, czyli Nightmare Moon. Już to wskazuje na działalność sił nieczystych. Na szyi królowej znajduje się też znamię, jakby wyliniała sierść czy kawałek gnijącego ciała. Co jeśli nasza ulubiona antagonistka to istota sprzed wieków, która została zabita, a następnie wskrzeszona? Może szuka zemsty bądź możliwości powrotu do dawnej formy?

Młodość

Chrysalis była kiedyś dzieckiem, co wynika z "This Day Aria" i "This Day Aria Reprise". Śpiewa tam o "dniu, o którym marzyła od czasu, gdy była mała" oraz coś, czego sensem jest "kto powiedział, że dziewczyna nie może mieć tego wszystkiego". Już to mówi nam, że nie jest istotą przedwieczną i zapewne ma lub miała rodzinę. Wspomnienie o płci może świadczyć o kompleksach bądź spędzeniu młodości w szowinistycznym społeczeństwie. Widać jednak, że nie mamy do czynienia z demonem. Możliwe też, że urodziła się podmieńcem i musiała walczyć o władzę.

Zadziwiające jest to, że kuce tak mało wiedziały na temat Chrysalis, za to ta była doskonale zorientowana w tym, co się dzieje na dworze w Canterlot. Oczywiście mogła ich śledzić, jednak niewątpliwie czuła jakiś podziw do Celestii i uznawała ją za potężnego wroga. Za to nic nie wspomniała o Lunie, jakby nie wiedziała o jej istnieniu bądź nie traktowała jako przeciwnika. Możliwości mamy parę: przestarzałe informacje, za czasów młodości Chrysalis Luna była praktycznie nikim bądź siedziała na księżycu albo Księżniczka Nocy sprzymierzyła się z Królową. Wszystkie te możliwości rodzą kolejne opcje, ale prowadzą do jednej konkluzji: Poczwarzka jest niemal równie stara jak Królewskie Siostry i prawdopodobnie miała w przeszłości jakiś zatarg z Panią Dnia. Może jeszcze za czasów, kiedy nie była wampirem emocjonalnym? To by wyjaśniało, dlaczego solarna władczyni jej nie poznała. Po prostu przy ich ostatnim spotkaniu nie było jeszcze Chrysalis jako takiej. Pewnie wyglądała zupełnie inaczej.

Królowa Podmieńców

Jak się nią zostaje? Większość fandomu uważa, że mamy tutaj sytuację jak u pszczoł, czyli królową trzeba się po prostu urodzić. Z jednej strony się zgadzam, bo kuce dzielą się na równe i równiejsze, jednak piosenka by na to nie wskazywała. Ona o tym marzyła od lat. Osiągnęła coś niezwykłego dla dziewczyny... Czyżby byli też władcy podmieńców? Całe społeczeństwo poddanych Poczwarzki to tajemnica. Jako biolog zdecydowanie nie zaliczyłabym ich do owadów. Uznawanie typowego podmieńca za drona to moim zdaniem też gruba przesada. Była walka, to co miały gadać. A osobnik, który "bawił" się z Pinkie udowadnia, że stworzy te posiadają indywidualne osobowości, a nie stanowią masę, jak się to powszechnie uważa. Nie dość że wykonywał polecenia Elementu Śmiechu, to w dodatku swoją mimiką pokazał dezaprobatę dla jej zachowania. Nie robił tego co reszta roju, czyli nie atakował. Ocenianie tych stworzeń po wyglądzie jest więc zdecydowanie krzywdzące.



Piękna czy bestia

Można o niej powiedzieć wiele, w końcu rzuciła kontrolę umysłu na Shining Armora, uwięziła Cadance, usunęła z drogi Twilight, była niemiła dla tej bandy idiotek zwanych Mane 6. Tylko za to wielu bronies uważa ją za złą. Jednak czy aby na pewno? Zrobiła to, by nakarmić swoich poddanych, więc z perspektywy podmieńców jest dobrą królową. A to, że przy okazji karmiła swoje ambicje... Ponoć bycie ambitnym to dobra cecha, prawda?



Wywiad z Tostem

Często można zobaczyć, że w polskim fandomie artyści zagraniczni są bardziej znani i doceniani niż rodzimi, zazwyczaj niesłusznie. Cóż, drodzy bronies, cudze chwalicie, swego nie znacie. Czas najwyższy to zmienić, dlatego począwszy od tego numeru, będziemy publikować wywiady z pisarzami, rysownikami czy innymi zdolnymi ludźmi z naszego pięknego kraju. Zaczniemy od Tosta, który nie tylko jest autorem do niedawna najdłuższego polskiego fanfika, ale i wielu innych godnych uwagi dzieł.

» *Zodiak & Cahan*

Zodiak: Jak się czuje zdobywca aż dwóch Oskarów z poprzedniej edycji?

Tost: Nie ukrywam, że czuję się w pewnym sensie spełniony. Zwłaszcza po wielu miesiącach ślęczenia nad opowiadaniem, którego tworzenie pełne było powracającego braku chęci, chłodnego przyjęcia przez najbliższych znajomych czy też kpin ciągnących się właściwie od początku. Cieszę się, że ktoś, kto przeczytał moje wypociny, uznał, że są coś warte.

Z: Jak zareagowałeś na wygraną?

T: Drobnym uśmieszkiem. Oczekiwanie na wyniki Oskarów było zabawne, biorąc pod uwagę datę publikacji oddalającą się z każdym dniem przez natłok materiału. A reakcja była drobniejsza, niż

wam się wydaje, bo moja działalność w fandomie schodzi już na drugi plan, przygnieciona przez pracę, studia i zbliżające się przygotowania do ślubu.

Cahan: Skąd pomysł na napisanie "Smoczych łez"? Jak wyglądało powstawanie tego fanfika od kuchni?

T: W trakcie drugiego sezonu dostaliśmy teaser dotyczący fabuły odcinka „Secret of my Excess”. Według niego Spike miał odwrócić się od swoich bliskich i oszaleć przez budzącą się w nim smoczą naturę. Ten pomysł bardzo mi się spodobał i zaowocował napisaniem pierwszych rozdziałów opowiadania.

Z: Czy cała historia była od początku zaplanowana z najdrobniejszymi szczegółami?

T: Nie. Miał być mniejszy. Liczyłem, że zamknę się w 12 rozdziałach, jednak okazało się, że pozwoliłem sobie na zbyt wiele, żeby uciąć wszystko i brutalnie zamknąć wątki. Wszystko miało toczyć się między Twilight a Spike’iem, jednak z biegiem opowiadania pojawił się Keegen, szukająca nowego domu Zecora, a także budzący się wątek poprzednika Twilight, pierwszego kuca, który udomowił smoka. W okolicach 25 rozdziału przysiadłem sobie z Kredką, zebraliśmy w całość to, co już napisałem i uznałem, że wobec tak wielkiego potencjału nie ma już odwrotu. Z tego musi wyjść coś ogromnego. Następnym planem było

zamknięcie się w 50 rozdziałach. Potem jednak Keegen tak mnie pochłonał, że musiałem w jego życie wpleść jeszcze jeden wątek. Tak narodziła się Lea, Drace i ich smocza kolonia. To wszystko złożyło się na 80 rozdziałów, które dopełniły jego historię. Bo koniec końców zamiast historii Spike'a wyszła mi z tego historia Keegena. Ta ostatnia myśl może wiele powiedzieć o powstawaniu tego opowiadania, skoro postać poboczna, która przez pierwsze kilka rozdziałów w ogóle nie istniała, chwilę później miała być właściwie pobocznym bohaterem, koniec końców stworzyła materiał na 80-rozdziałową historię kręcącą się właściwie wokół niej. Nie było żadnego planu...

C: Co myślisz o swoich czytelnikach? Uważasz, że otrzymałeś dość uwagi i konstruktywnych komentarzy?

T: Co do uwagi... Na początku było mi jej za mało. Żądałem uwagi jak narkoman, co doprowadzało do tego, że wtedy, kiedy jeszcze byłem pisarskim zerem, tak obrzydziłem swoim najbliższym znajomym lekturę mojego opowiadania, że do tej pory szydą z niego i chyba nigdy już się za nie nie wezmą. Cóż, popełnianie błędów to prawo głupiego nastolatka. Potem jednak trochę się rozwinąłem psychicznie i społecznie, a moje opowiadanie niezależnie ode mnie zdobyło sobie dużą popu-

co pisać" ... Koniec końców jednak sława "Łez" chyba mnie przerosła, bo w wielu społecznościach prędzej jestem przedstawiany jako „ten, co napisał "Smocze Łzy"” niż jako Tost czy po prostu Adrian. A konstruktywnych komentarzy zawsze było mi mało. Większość osób komentujących opowiadanie mówiło, że „wszystko jest fajne”, co nie mówiło mi kompletnie nic, „twój fanfic ssie”, co również nie pomagało, czy też „to Jezu, za długie, nie chce mi się czytać”, co mówiło mi wiele o ich braku zdolności do czytania cegogokolwiek, co nie jest komiksem albo nalepką Domestosa. Ledwie kilka osób miało ochotę, żeby przysiąc i naprawiać moje błędy. Dziękuję zwłaszcza Kredke i innym z Tsa, którzy swego czasu walili we mnie dłutami krytyki, żeby koniec końców wyciosać ze mnie coś, co miało jakieś sensowne kształty.

C: Co dało ci pisanie fanfików o kucykach? Czy uważasz, że warto pisać, a jeśli tak, to dlaczego?

T: Oczywiście, że warto pisać! Pisanie bardzo rozwija umiejętności władania językiem, z czasem prowadzi też do wzrostu naszego zasobu słów, łatwiejszego formułowania myśli czy wreszcie do poprawy naszych wypowiedzi. Umiejętność władania językiem jest dosyć uniwersalnym talentem, który objawia się i pomaga niemal na każdym polu od rozmowy o pracę po czarowanie płci przeciwnej. Zwłaszcza w tym drugim jestem zresztą nienajgorszy i śmiem twierdzić, że nigdy by mi to nie przyszło, gdyby nie tworzenie "Smoczych Łez".

Z: "Smocze Łzy" to twój pierwszy fanfik. Czy łączy cię z nim jakaś więź emocjonalna?

T: "Smocze Łzy" to było moje poletko do treningu pisarskiego. Pierwsze rozdziały były niekończącym się pasmem eksperymentów, a wraz z tokiem opowiadania uczyłem się nowych form narracji, efektywniejszego wpływania na emocje czytelnika i wszystkich innych zdolności nabytych z ciągłego podpatrywania Tolkiena, Huxleya czy

Orwella. Na tym opowiadaniu uczyłem się przyjmować krytykę, obelgi i pochwały. Napisanie, że łączy mnie z nim JAKAŚ więź emocjonalna to niedopowiedzenie.

Z: Który bohater był/jest twoim oczkiem w głowie?



larność w fandomie. Problemem było to, że żyło sobie własnym życiem, a ja o jego popularności nie miałem pojęcia. Stąd moje wielokrotne rozmowy z Kredke, który przekonywał mnie, że ludzie je znają, podczas gdy ja z braku feedbacku ciągle narzekałem, że „nikt mnie nie czyta, nie mam po

T: Cóż powiedzieć? Keegen. Jemu poświęciłem najwięcej czasu, jego wewnętrzna przemiana i dorastanie to główny temat większości rozdziałów. Jak wiele postaci z opowiadania, jest on wynikiem wyprojektowania na niego wielu części mojej osobowości przeszłych lub obecnych, głównie mojego dawnego cynizmu, epizodycznego nihilizmu, siedzącej gdzieś w duszy niechęci do ludzi, ale też żądzy odkrywania, zdobywania wiedzy i wielu innych. Keegen był mną w wieku wczesnolicealnym... wiecznym buntownikiem, stroniącym od ludzi, obrzydliwie pysznym, przekonanym o swojej wyższości, dążącym jedynie do samodoskonalenia, niepotrzebującym niczyjej uwagi, pochwały, niczego poza świętym spokojem. Wlałem w Keegena wiele ze mnie, stąd po latach, kiedy wracam do opowiadania i obserwuję jego przemyślenia, jakże szczerze i płynące z moich aktualnych wówczas poglądów, jestem pod wrażeniem tego, jak bardzo się zmieniłem. Zdecydowanie jest moim oczkiem w głowie. Zakonserwowaną, mroczną częścią mnie puszczoną samopas w fikcyjnym świecie, gdzie nie istnieją dla niej granice. Historią, której sam się czasami boję.

C: Jesteś znany głównie jako autor :\"Smoczych łez\", ale pisałeś też inne fanfiki. Z których jesteś najbardziej zadowolony i dlaczego?

T: Z późniejszych. To powie każdy artysta, czy to rysownik, czy pisarz. Wraz z czasem umiejętności w danym rzemiośle rosną, a więc późniejsze dzieła zawsze zdają się lepsze i bardziej dopieszczone niż dawne płody naszej pracy. Stąd obecnie bardziej zachęcam do lektury wciąż (baaaardzo powoli) pisanego „Przymierza” niż starych, bardzo naiwnych, młodzieńczych „Smoczych łez”.

C: Jaki jesteś w prawdziwym życiu, możesz się z nami czymś podzielić?

T: Żeby się tego dowiedzieć, lepiej pytać osób z mojego otoczenia niż mnie. Nemo iudex in causa sua. Ja powiem najwyżej o zainteresowaniach, a jaki jestem, dowiadujcie się od warszawskich kuców. Lubię gry komputerowe, siłownię, rower i gotowanie. Moim oczkiem w głowie jest historia, głównie Starożytny Bliski Wschód, co bardzo ułatwia zrozumienie i interpretację Biblii. Moje życie bardzo się zmieniło w 18 roku życia, kiedy

to nawróciłem się na chrześcijaństwo i nie umiem mówić o sobie inaczej jak przez pryzmat tego kluczowego wydarzenia. Z pysznego, nienawidzącego innych, małego, zawistnego człowieczka Jezus ulepił nowe stworzenie, które cieszy się z każdego dnia danego przez Boga.



Z: Czym się zajmujesz?

T: Po tym, co napisałem, może to być zaskakujące, ale jestem programistą. Po semestrze studiów prawniczych przypadkiem dostałem się do pracy, w której również za sprawą wielu zrzędzeń losu bez ŻADNEGO doświadczenia wyładowałem wśród firmowych informatyków jako początkujący programista. Okazało się, że mimo całkowitego braku wcześniejszej edukacji w tym kierunku zakochałem się w programowaniu, więc rzuciłem prawo i postanowiłem iść za ciosem. Obecnie studiuje informatykę i rozglądam się za jakąś konkretniejszą pracą w zawodzie. W wolnych chwilach robię strony internetowe na zamówienie czy też zajmuję się stawianiem sieci w firmach. W przyszłości planuję tworzyć gry komputerowe. Chociaż kto wie... Może pójdę na teologię. Życie jest bardzo nieprzewidywalne.

Z: Osobiste pytanie: czy umieszczenie Zecory jako jednej z głównych bohaterek jest dziełem przypadku, chłodnej kalkulacji czy osobistych preferencji?

T: Zecora nawinęła się przypadkiem. W końcu spalono jej dom. Potem wszystko poszło za ciosem...

Z: Który kucyk (bądź i nie-kucyk) jest twoim ulubionym?

T: Spike.

Z: Jakie jest Twoje stanowisko wobec zarzutów o legendarną klatkę?

T: Klatka istniała, bo za późno wpadłem na pomysł smoczej kolonii. Keegen siedział w klatce. Nagle wpadłem na pomysł, co zrobić z nim po wyjściu z klatki. I musiałem stworzyć CAAAAAŁY wątek, a następnie zmieścić go bardzo szybko, ZANIM z niej wyjdzie. Kto czytał, ten wie, że żeby wszystko grało, cały wątek musiał być całkowicie zamknięty, toteż nie miałem zbyt wiele możliwości. Musiał tam posiedzieć

C: Zarówno „Smocze Łzy”, jak i „Przymierze” wydają się być dość ambitnymi projektami, na dodatek są ze sobą powiązane. Jak rozumiem, masz w pełni rozplanowaną historię Equestrii. Zamierzasz coś jeszcze pisać w tym uniwersum?

T: O tak, to jest efekt wielu nocy spędzonych na TeamSpeaku. Wszystko się zazębia, mam pomysł na historię i powiązanie wszystkich głównych ras, historię changelingów, kryształowych kuców, draconequi, alikornów, jednoroźców etc. Jedyne, czego nie mam, to czas, żeby to wszystko napisać. Przez rok nie napisałem prawie żadnego zdania. Wszystko wisi i czeka na lepsze czasy. Dopiero kilka miesięcy temu odgrzebałem „Przymierze”, przeczytałem je całe i powoli przymierzam się do powrotu do pisania go dalej. Jeśli nigdy się nie zepnę, to w końcu daruję sobie pisanie opowiadania, tylko streszczę mój headcanon tworzony przez lata w jakiś spójny sposób.

C: Czytasz inne fanfiki? Jeśli tak, to który z nich jest twoim ulubionym i dlaczego?

T: Niestety nie. Może poza „Fallout Equestria”, który przeczytałem po łebkach w związku z fascynacją oboma światami. Wybaczcie, ale życie jest za krótkie, żeby czytać słabe książki... Nawet jeśli istnieją jakieś naprawdę dobre fanfiki, mamy ograniczoną liczbę minut w tym życiu i wolę czytać klasyki europejskiej literatury, żeby przyssać się do matecznika naszej cywilizacji (czy choćby po raz kolejny przeczytać Biblię, żeby więcej z niej zrozumieć) niż przebierać bez końca pośród dzieł tekstów losowej jakości w poszukiwaniu

pereł. Może po śmierci będzie jeszcze dostęp do internetu i wtedy nadrobię stare dzieła, aczkolwiek wtedy również wydaje mi się, że będę miał inne rzeczy do roboty. :T

Taki z niego hipokryta, chociaż pisze, sam nie czyta...

Z: Skąd wzięło się przezwisko „Tost”?

T: Historia tego nicku jest tak mało fascynująca, że zamiast tego radzę wam przeczytać składankę kawałów Strasburgera. Aby zaspokoić ciekawość, powiem, że nie wiąże się z nim nic, czego nie da się określić terminem „losowe śmieszki”.

Z: Skąd pomysł na innowacyjny, ale świetnie napisany fanfik „Klucze Łzy”?

T: Czasem krótsze formy są bardziej wymagające od autora niż długie epepeje. Napisanie krótkiego fanfika to było dla mnie nie lada wyzwanie, czego dowodem jest to, że każda odpowiedź na pytanie w tym wywiadzie ma co najmniej 12 linijek.

A tak naprawdę, to... napisałem go bodaj na 1 kwietnia 2014 roku.

Z: Co Cię popchnęło do oglądania serialu „dla małych dziewczynek”?

T: Flashowe animacje. Dobra muzyka. Fascynująca kreska. Zacząłem oglądać kuce trochę po premierze „Winter Wrap Up”, a ta piosenka była pierwszym, co zobaczyłem. Obejrzałem ten odcinek, chociaż wiedziałem, że oglądam kucyki, ale muzyka była tak dobra, głosy tak przyjazne, a cała fabuła tak dziwnie naiwna i ciekawa, że chciałem WINCYJ. Potem wylądowałem na ponymeecie w Warszawie, a dalej już poszło i nie puściło. Aż do ostatniego czasu, kiedy fandom umar, a mnie odciągnęła praca, studia i kobieta.

Z: Czy czytasz nasz fanzin?

T: (Najpierw przez dłuższy czas zachodziłem w głowę, co to właściwie znaczy „fanzin”). Okazjonalnie, kiedy ktoś raczy podrzucić mi jakiś ciekawy materiał. Zwykle jest to tekst autorstwa znajomego, recenzja jego fanfika czy też inne wydarzenia podobnej natury. Niestety moje lata istnienia w fandomie stają się powoli jedynie wspomnieniem, więc i kontakt z ważniejszymi źródłami wiedzy o życiu stada jakoś się zaciera.



Co Mnie Wku**ia w Fandomie

Pprzed wami kolejne CMWwF (dawno nie było, wiem, że tęskniliście, hehe). Chciałbym w nim poruszyć jedną kwestię, której traktowanie przez fandom mnie zwyczajnie wku**ia. Jest nią niejaka Scootaloo.

» Poulsen

Odcinek III: Fandom a Kwestia Scootaloo

Scootaloo jaka jest, każdy widzi. Klaczka pegaza z pewnym stopniem niepełnosprawności pod względem zdolności do lotu. Zapatrzona w Rainbow Dash, śmigająca po Ponyville na hulajnodze, wraz z przyjaciółkami wiecznie pakująca się w tarapaty. Dzieciak szukający swojego powołania i miejsca na świecie. Ale dla fandomu to wszystko nie ma najwidoczniej żadnego znaczenia. Nasza szanowana społeczność miłośników MLP uznała, że zrobi z biednej Scoots sierotę. I bardzo mnie to wku**ia. Od razu zaznaczę, że nie ma nic złego w byciu sierotą. Jednakże casus pomarańczowej klaczki pokazuje, jak dziecinny, niedojrzały i głodny dramy jest fandom. W serialu nie ma absolutnie żadnej sugestii co do tego, czy Scootaloo posiada rodziców, czy też nie. Wiemy, że ma dom (a zatem nie mieszka w sierocińcu lub pod mostem, jak chcieliby liczni autorzy fanfików), nie wygląda na zaniedbaną. Z jakiegoś jednak powodu kucofani uznali, że mały pegaz jest nieposiadającą rodziny ofiarą okrutnego losu.

„Zaraz, pismaku niepodkuty!”, zakrzyknie fandom. „Nigdy nie widzieliśmy rodziców Scootaloo! Jak to wytłumaczysz, cwaniaczku?”. Owszem, nie widzieliśmy. Podobnie jak nie zobaczyliśmy np. rodziny Fluttershy. Jej jakoś nikt nie uznał za sierotę, choć zachowanie pegaza mogłoby wskazywać, że w dzieciństwie przeżył jakąś traumę, np. śmierć rodziców właśnie. To, że czegoś nie ma serialu, nie jest żadnym dowodem.

Innym argumentem wysuwany na poparcie tezy o sieroctwie Scootaloo jest jej obsesja na punkcie Rainbow Dash. Wszak osoba mająca rodzinę nie powinna tak zaciekle poszukiwać uwagi i sympatii niespokrewnionego z nią kucyka? To musi oznaczać, że Scoots nie ma nikogo innego!

Haha, nie. Wiele osób fascynuje się obcymi osobami, wystarczy spojrzeć na to, jak poczytne są pisemka plotkarskie i jak często fascynujemy się wybitnymi sportowcami lub artystami. W kwestii Scootaloo i Rainbow należy pamiętać, że ta druga jest dosyć znana i bardzo dobra w tym, co robi. Do tego jest pewna siebie (żeby nie powiedzieć arogancka) oraz lubi być w centrum uwagi. Nic dziwnego, że stała się obiektem uwielbienia jakiegoś dzieciaka, tym bardziej że obie mieszkają w tej samej małej miejscowości.

Tak więc, drogi fandomie, przestań być tak głodną sensacji i cudzych dramatów tłuszczą, a zacznij trochę myśleć i zwracać uwagę na to, co widzisz na ekranie. Być może wtedy twoje rojenia będą miały nieco więcej sensu.



Redakcyjna ocena odcinków

To już 6 sezon. Niewiarygodne, jak ten czas leci. Ale my nie zwalaniem i dostarczamy wam oceny kolejnych odcinków, dokonanych przez „kompetentnych” członków redakcji.

» Redakcja *Equestria Times*

1 & 2. The Crystalling Macter4

Sezon się rozpoczął, więc i czas na moje subiektywne spojrzenie na jego premierę. Nie mam pojęcia, jakie nastroje dominują pośród innych, ale ja aż tryskam radością. Nie wiem, czy to „głód” kuców, czy może kawał fachowej roboty, ale nie widzę nawet najmniejszej skazy na całości. Na start dostajemy świetny potencjalny zarys, wokół czego będzie kręciła się fabuła – Starlight zostaje uczennicą Twilight. Lekcja, którą ma odbyć, wywołuje u niej konkretny lęk, ale domyślałam się, że nasza księżniczka wybrała ją, wiedząc dokładnie, jaki efekt chce uzyskać. W końcu znała przeszłość Sunbursta, a w szczególności jego problemy w szkole, bo tą wiedzą dysponowała Celestia. I to było jedno oblicze fabuły. Drugie należało do Flurry Heart i perypetii, jakie towarzyszyły tej „słodkiej destrukcji”. Na sam początek pocisk w fandomowe teorie w postaci informacji, że jest to pierwszy alikorn, który się urodził. Dziecko na pewno nie należy do tych spokojnych, a jest raczej chodzącą kataklizmem. Scena w bibliotece wybitnie przypominała mi rodzinne spotkania, gdy kuzynka przyjeżdża ze swoim urwisem, który mimo braku magii i skrzydeł sięje dokładnie takie

samo zamieszanie. Widzę też pewne odwrócenie tendencji u twórców, jeżeli chodzi o Spike’a. Miał małą wpadkę, ale to, co robił, znów bardziej przypominało rolę asystenta z pierwszego sezonu niż popychadła, jakim był w ostatnim. W szczególności ta uwaga, jaką zwrócił Twilight na koniec odcinka. I ona dała mi nadzieję, że będziemy obserwować nie tylko odkrywanie przyjaźni przez Starlight, ale także naukę o byciu nauczycielem/mentorem. Pełno było też perełek dla różnych analizatorów, choćby np. dość dużo informacji o magii i władaniu nią, ale to zostawiam dla innych. No i ten tajemniczy cień na koniec. Cudo bez dwóch zdań.

aTOM

I znowu po paru miesiącach oczekiwania powróciły nasze ukochane taborety. I niestety, otwarcie szóstego sezonu w mojej opinii jest najgorsze z dotychczasowych. Oczywiście zawierało kilka bardzo przyjemnych elementów: Starlight jako uczennica Twilight, nawiązanie do historii z Sunburstem czy rewelacja pod postacią pierwszego alikorna nieuzyskanego sztucznie. Lecz jednocześnie ten ostatni element dla mnie mocno obniżył ocenę odcinka. Jasne, od kiedy pojawiły się pierwsze przecieki, wiadomym było, że otwarcie będzie się kręcić wokół Flurry Heart, ale liczyłem, że twórcy nas zaskoczą tak, jak zrobili to z królewskim weselem i typowo „dziewczęcej” fabule dodadzą nieco pazura. Niestety, owego pazura zabrakło... Na szczęście druga część historii, czyli spotkanie Starlight z dawnym przyjacielem, znacznie poprawiła odbiór całości, w dodatku serwując nam po drodze jednoroźca,

który być może przeczytał w życiu nawet więcej niż Twilight. Ogólnie 5/10.

Uszatka

Czekaliśmy, jedni mniej, inni bardziej, na to, co przygotuje nam premiera nowego sezonu. Przecieki związane z Flurry Heart wzburzyły fandomem, po części pozytywnie, po części negatywnie. Ale nadszedł ten czas, odcinek się pojawił. Czy spełnił wasze oczekiwania? Nie wiem. A czy spełnił moje? Cóż, prawdę mówiąc, niespecjalnie. Szum wokół niekontrolowanej mocy alikorniej landrynki, jaki to pokazano nam w zapowiedziach, wskazywał na coś naprawdę wielkiego. W końcu nawet Celestia i Luna nie dawały rady burzy, jaką wywołała. Tymczasem – jeśli nie chcesz spoilerów, to nie czytaj dalej – nawałnica nie była stworzona przez Flurry Heart. Na minus zasługuje również fakt, że akcja toczyła się bez ładu i składu. Z jednej strony mamy rozbrykane, niepowstrzymane dziecko, z drugiej kucyki zmagające się z pogodą, a z trzeciej Starlight, która jakby nigdy nic próbuje odnowić starą przyjaźń. No misz-masz. Moim zdaniem trzeba było się skupić na jednej rzeczy, jak to było w poprzednich otwarciach sezonu. Ale, ale. Nie można powiedzieć, że premiera była do niczego. Mamy nowe tajemnice do odszyfrowania, Flurry Heart ma potencjał, a Starlight z Sunburstem są zwyczajnie uroczy. W ostatecznym rozrachunku daję 7/10. Najślabsze otwarcie, ale nie katastrofa.

Dolar84

Nienajgorsza premiera, nienajgorsza. Fabuła może nie była specjalnie zaskakująca, ale solidna na pewno. Po prostu taki odcinek, który ogląda się z przyjemnością. Starlight od samego początku była zabawna i miło było oglądać, że nie gryzie się z pewnym smoczym asystentem. Dodając do tego fakt, jak często przyłapuje go w łazience... dobra, nie ten dział. W każdym razie jej panika, kiedy dowiedziała się, co ma być jej pierwszym zadaniem w nauce przyjaźni, była boska. Dalsza część odcinka przenosi nas już do Kryształowego Cesarstwa, a tam niespodzianka – Królewskie Siostry. Przyznam, że ich się nie spodziewałem, chociaż jakby się chwilę zastanowić, to logiczne, że przybyły na wielką uroczystość w stolicy swoich lenników. Kolejnym świetnym punktem był Shining Armour – jego zachowanie, wygląd i ogólny stan idealnie odpowiadał temu, w którym znajduje się większość młodych ojców. Sama Flurry Heart... ambrozja. Mini-alicorn o wprost niesamowitych zdolnościach do destrukcji zwiewający po całej bibliotece był po prostu fenomenalny. Dodajmy do tego Starlight i Sunbursta z ich odnawianiem starej

przyjaźni oraz totalnie przewidywalne zakończenie i mamy odcinek, który jak już pisałem ogląda się po prostu przyjemnie, choć może bez fajnerwerków.

3. The Gift of the Maud Pie

Macter4

Odcinek dość klasyczny, można wręcz powiedzieć, że „bez historii”. Nie oznacza to jednak, że był to zły epizod. Rarity jedzie szukać miejsca dla nowego butik w Manehattanie, a towarzyszy jej Pinkie, która ma tradycyjne, coroczne spotkanie z Maud. Tym razem oglądając starszą siostrę, naprawdę odniosłem wrażenie, że są spokrewnione. W końcu twórcy pokazali, że są to podobne charaktery, ale opakowane w różne osobowości, czego sam we wcześniejszych odcinkach nie mogłem dostrzec. Fabuła w odcinku jest całkiem zwyczajna, mimo że główna z ról przypada różowej klaczy. Zaś końcowa puenta, choć oklepana i znana, warta jest przypomnienia.

Dolar84

Fenomenalny odcinek. Nie dość że oparty na klasycznym motywie z opowiadania „The Gift of the Magi”, to jeszcze dziejący się w Manehattanie i zawierający w sobie Maud Pie. Naprawdę nie wiem, co więcej mogliby twórcy do niego wrzucić. Przyznaję, iż sama obecność cichej siostry Pie zwykle sprawia, że chcę dać odcinkowi 10/10, ale on sam też się dobrze broni. Dodajmy do tego sporo widoków Manehattanu, które zostały zrobione naprawdę przyzwoicie. Uzupełnijmy to komentarzami Maud oraz jej popisami i dostajemy coś pięknego – choćby popis jazdy figurowej, zdolność do teleportacji (najwyraźniej to cecha rodzinna) i wspaniały sposób negocjacji handlowych. Kończąca puenta jest przewidywalna, ale tego można się było spodziewać po ujrzeniu tytułu i w moim odczuciu absolutnie nie osłabia to wymowy całego odcinka.

4. On Your Marks

Uszatka

Słabo. Odcinek moim zdaniem kompletnie nie miał sensu, bo powinien się skończyć po tym, jak ledwo się zaczął. Czyli w chwili, w której Znaczkowa Liga dochodzi do wniosku, że czas zająć się swoim prawdziwym hobby. Rozumiem, co chcieli pokazać twórcy, że mimo iż przyjaciele poświęcają dużo czasu swoim własnym zainteresowaniom, to nie oznacza, że nie będą mieli chwili dla siebie. Jednakże zachowanie Apple Bloom było zwyczaj-

nie bezsensowne. Dlaczego usilnie poszukiwała dla siebie zajęcia, skoro miała już własne hobby, jakim jest tworzenie eliksirów? A sięgnąwszy do sezonu pierwszego, to jeszcze zajęcia plastyczne. To największa wada odcinka i powód, dla którego ocenę go na zaledwie 5/10. Byłoby mniej, ale młody ogier wywijający nogami jak dziki wywołał u mnie uśmiech na twarzy.

Macter4

Zgadzam się z przedmówczynią, że odcinek nie był najwyższych lotów, ale osobiście postawiłbym na inny problem. Tym razem był on dużo mocniej skierowany do właściwej widowni niż do starszych, bo porusza problem dorastania i więzów przyjaźni, które się zmieniają. Każdy z nas pamięta beztroski czas z dzieciństwa oraz jak potem z każdym kolejnym etapem życia coraz mniej czasu mieliśmy na zupełne nicnierobienie. Wspólne ścieżki z wieloma znajomymi dość mocno się rozjeżdżały, tak że ostatecznie traciliśmy kontakt. I tutaj pojawia się mała wskazówka, że zawsze można znaleźć sposób na podtrzymanie więzi. Co z tego, że teraz nie robimy wszystkiego razem tak jak kiedyś. Jeżeli tylko zechcemy, znajdziemy sposób i na ten problem.

Dolar84

Jedna rzezy w odcinkach z CMC się nie zmienia. Każdy, w którym są skoncentrowane całkowicie na znaczkach, irytuje mnie niepomernie. No ale przynajmniej tym razem jedynie Apple Bloom robiła z siebie idiotkę, a pozostałe zachowywały się racjonalnie (jak na CMC). Tak jak pisali poprzednicy, zamysł twórców był jasny, ale do mnie jakoś ten odcinek nie przemówił. No może oprócz kilku smaczków, jak plejada gwiazd malarstwa – ciekawe że wszyscy są w Ponyville, nie sądzicie? Piosenka nie była zła, ale też nie nazwałbym jej genialną. To raczej jeden z tych odcinków, o których za długo pamiętać nie będę.

5. Gauntlet of Fire

Macter4

Zastanawiałem się, czemu w internecie panuje taki boom na postać błękitnej smoczy. Ale jak obejrzałem odcinek, zrozumiałem, że twórcy po prostu przygotowali postać, której ciężko nie lubić. Sam epizod dostarczył mi dużo śmiechu, zaczynając od pięknego podsumowania przez Celestię wszystkich dotychczasowych spotkań. Sezon 6 zaś kolejny raz udowodnił, że można się zniszczyć w założeniach niektórych ludzi jak kula armatnia. Smoki okazały

się być dużo bardziej cywilizowane niż wcześniej się zakładało. Ogólnie te 22 minuty to kopalnia kolejnych domysłów i rozważań. Wracając zaś do Ember i Spike'a, mam nadzieję, że będzie jeszcze coś o tej przyjaźni, bo jest spory potencjał na kolejne historie. Odcinek miał tylko jeden minus – też chcę poznać odpowiedź na pytanie „jak wyście się tu dostały?”.

Zodiak

Za takie odcinki lubię ten serial. Była akcja, był humor i ciekawe postacie. Plus, oczywiście, kilka kropli wiedzy na temat serialowych smoków (a przecież to kopalnia pomysłów na fanfiki!). Szósty sezon jak dotąd zaczyna się bardzo dobrze. Jestem w stanie zrozumieć hype na postać Ember, sam projekt tej postaci wygląda ładnie, a jej osobowość i głos (tak, dubbing też się dla mnie liczy) nie pozwalają jej nie lubić. Podobnie jak jej ojca, Torch to jeden z lepszych bohaterów epizodycznych, jakie widziałem, jest świetnie zaprojektowany i tworzy masę zabawnych sytuacji. Cała fabuła była typowo serialowa, bez większej głębi, za to z prostym morałem. Żałowałem tylko trochę, że jednak to nie Garble wygrał. Mimo znaczących braków w inteligencji potrafił stworzyć dobry plan swoich rządów jako Dragon Lord.

P.S. Wszelkie shippingi wynikające z tego odcinka to zło.

Dolar84

Smoki. Dużo smoków. Odcinek zdecydowanie za to punktuje. Za całą resztę w sumie też – podoba mi się szczególnie to, że Spike przestał być taką miągwą, do jakiej przyzwyczaili nas twórcy. Chociaż muszę powiedzieć, iż samo zakończenie mnie trochę zaskoczyło – co prawda nie sam fakt przekazania władzy, ale to jak się rzecz odbyła. Byłem na sto procent przekonany, iż Spike mający możliwość wzięcia berła odda ten honor Ember – cóż, myliłem się. W każdym razie postacie smoków wypadły bardzo dobrze, zarówno nowa władczyni, jak i jej ojciec. Zgadzam się z Zodiakiem, że Torch idealnie wpasowuje się w obraz typowego despoty. Szkoda, że najprawdopodobniej więcej go nie zobaczymy, bo muszę powiedzieć, iż chętnie dowiedziałbym się jakie to prawo zmusiło go do abdykacji. W sumie jakby o tym pomyśleć to sam fakt takiego przekazania władzy wśród smoków nieco dziwi – spodziewałbym się raczej pojedynku o przewodnictwo, no ale skoro tak to sobie twórcy wymyślili, to niech i tak będzie.

Red's Pocket Ponies

W ofercie można znaleźć:

Przypinki

Kubki

Koszulki

Nieśmietelniki

Figurki Funko

Zamówienia specjalne



/redspocketponies





Cahan – Matka Rosiczek, Postrach Fanfikowców, silna i niezależna kobieta, która sama otwiera słoiki i ma dwa koty. W fandomie znana jako kiepski rysownik, średni pisarz i krytyk literacki. Słynna jako anatomynazi. Za „parzystokopytne kuce” morduje bez wahania przy pomocy puszek orzeszków, wrednych kobył i miecza z karimaty. Prywatnie lubi expić na kompie i w realu.

Śmierć autorytetom

W mediach często się słyszy o tym, że dzisiejsza młodzież nie uznaje autorytetów. Przedstawia się to jako zjawisko złe i niepożądane. To zabawne, zważywszy na to, że to właśnie w dobie globalizacji, powszechnym dostępie do telewizji, prasy, radia i Internetu doszukałabym się przyczyny takiego, a nie innego stanu rzeczy. Co więcej, wcale nie uważam tego za zmianę na gorsze.

Kiedys nie słyszało się o wszystkich grzeszkach znanych ludzi. Dzisiaj dziennikarze próbują wydobyć sekrety każdego i czasami im się to udaje. Zastraszone ofiary zaczynają otwarcie mówić o swoich przeżyciach i nagle okazuje się, że wielki aktor, dostojnik kościelny czy inna osoba ciesząca się uznaniem społeczeństwa nie tylko nie była kryształowa, ale wręcz skrywała w sobie więcej mroku niż przeciętny człowiek. A kiedy okazuje się, że papież tuszował afery pedofilskie w Kościele, zaś znany celebryta gwałcił dzieci, to ciężko o wiarę w ludzi i świat.

Nie ma ludzi idealnych, nie ma ludzi kryształowych. Są tylko odcienie szarości, a ciężko podziwiać kogoś, kto jest takim samym człowiekiem jak my. Czasami podziw, jaki czujemy, zaślepia nas i nie widzimy przywar tej drugiej osoby. Jest to zjawisko powszechnie znane i dość częste. Później następuje ogromne rozczarowanie, często wyparcie. Nic dziwnego, w końcu właśnie runął nasz światopogląd. Nie dziwota, że młodzi po pierwszych zderzeniach z rzeczywistością są niechętni temu, by

znowu w kogoś uwierzyć.

W naszym fandomie nie brak ludzi, którzy sami stali się autorytetami dla wielu innych. Wielu z nich nie reprezentuje sobą zbyt dużo, a doskonały nikt nie jest. Sama stałam się właśnie taką „wyrocznią” w sprawach fanfików. Niesłusznie. Jestem tylko człowiekiem, istotą niedoskonałą. Mogę się mylić i czasami tak się dzieje. Raz napiszę lepsze opowiadanie, raz gorsze, a raz coś, co zasługuje na wyrzucenie do śmieci. To nie dotyczy tylko mnie, ale wszystkich bronies w środowisku. Niektórzy otoczeni swoim stadkiem fanów wręcz spoczęli na laurach, stali się pyszni i próżni.

Proszę was o jedno: o posiadanie własnego zdania i zdolności do krytycznego myślenia. Zawsze i wszędzie. Nie podążajcie ślepo za kimś, kto jest znany w fandomie tylko dlatego, że jest znany. Bądźcie sobą i wytaczajcie własną ścieżkę, a nie czyjąś. Pamiętajcie, że nawet specjalista w jakiejś dziedzinie może się mylić, bo też jest tylko człowiekiem. Nie znaczy to, że nie należy szanować cudzego zdania. Wystarczy do wszystkiego podchodzić z głową.



Macter4 – Chodząca definicja nikogo. Wirtualnie nierozpoznawalny, bo niezbyt się udziela w widoczny sposób. Realnie nieznan, bo ma wszędzie daleko ze swojego ukochanego miasta. Informatyk z wyboru, astro-amator z zamiłowania.



O pracy słów kilka

W numerze świątecznym pojawił się felieton Cygnusa „Polecam pracę. Każdemu”, po którym miałem trochę przemyśleń. Ale prawdziwy impuls do napisania tego felietonu pojawił się, gdy którejś dżdżystej nocy wracałem do domu, a w słuchawkach zagrało „Family Ways” od Forest Raina.

Nasz fandomowy łabędź w swoim tekście przekonuje wszystkich, żeby znaleźli sobie pracę, a wtedy życie stanie się wreszcie kolorowe. I o ile z pierwszą częścią tego twierdzenia nie zamierzam dyskutować, bo każdy prędzej czy później powinien pójść do pracy, to drugi fragment o wspaniałości tego doświadczenia można między bajki wsadzić.

Pójście „do roboty” nie sprawia z automatu, że życia staje się lepsze. Na początku większe szanse ma się na trafienie na taką, która wręcz będzie zabijać całą radość, także tę, którą czerpiemy z różnego rodzaju hobby. Bo nagle odkrywasz, że te fandomowe problemy były wspaniałe, nieważne jak bardzo błache i durne. Szef wygeneruje ci 1000 razy bardziej bezsensowne problemy, których nie możesz zwyczajnie olać, bo od nich zależy twoja wypłata i być albo nie być w danej firmie. A wykonaniem zadania „pocieszysz się” jakieś 30 sekund, bo potem przyjdzie boss ze stwierdzeniem, że zmienił koncepcję i wręczy ci młotek do rozwalenia tej „pożytecznej” pracy, jaką właśnie odwaliłeś. I tyle zostanie z namacalności twojego trudu.

Zawiązesz też nowe znajomości. Sęk w tym, że zapierałbyś się rękami i nogami w każdej innej sytuacji przy 50% procentach z nich, aby w życiu nie mieć bliższego kontaktu z takimi ludźmi. Jeżeli kiedyś uważałeś, że inni traktują twoją pracę za nic niewartą, to poczekaj, aż dowiesz się, co o niej potrafią myśleć ludzie z innego działu. I lepiej oswój

się z tą myślą, że łatwiej znajdziesz wroga niż przyjaciela. Będziesz przeżywał mniej zawodów każdego dnia.

Przy takim układzie, nieważne, ile będziecie zarabiali; i tak będzie za mało, by załagodzić szarość dni. Jedyna kwota, która by was zadowolili, to taka, która pozwoliłaby rzucić wam tę robotę. Czarna to wizja, co?

Więc teraz wrócimy do „Family Ways”, które wbrew pozorom mówi całkiem dużo o pracy. O tej dobrej, w której czujemy, że znaleźliśmy właśnie to, co chcemy robić. I jest to w sumie najbardziej dokładna definicja, jaką można podać.

Dla każdego ta dobra praca będzie czymś innym. Dla jednego będzie to tłum ludzi, z którymi trzeba rozmawiać, a dla innego cichy pokój, gdzie sam będzie mógł skupić się na zadaniu do rozwiązania. Życiowym marzeniem może być zarówno umysłowa praca w centrum tętniącego miasta, jak i ta fizyczna na odludziu, blisko natury. To, co dla jednej osoby będzie piekłem, dla innej będzie rajem. I tak jak nie ma prostej recepty na opisanie dobrej pracy, także przykłady przeze mnie przedstawione nie oddają do końca prawdy, bo są zbyt czarno-białe. Czasami robi się to, co się kocha, ale otoczenie do nas nie pasuje i na odwrót.

Dlatego znalezienie tej właściwej jest takie trudne. Zgadza się, że żadna praca nie hańbi, ale hańbi brak odwagi przyznania się przed samym sobą, że to nie jest to, czego szukamy w życiu. Trzeba zaryzykować, szukać jej i nie poddawać się, gdy popełnimy błąd. Trud w końcu będzie wynagrodzony.



Dolar84 – zgryźliwy tetryk. Naczelny zgred, krzyczący na biednych redaktorów i korektorów. Młot na plagiatorów. Tłumacz, pisarz i początkujący lektor fanfików. Dalsze informacje ocenzurowało Ministerstwo Zdrowia, Szczęścia i Wszelkiej Pomyślności.

Rozważania Zgryźliwego Tetryka

Zmiana postrzegania

Do takiego zatytułowania felietonu i ogólnego zajęcia się rzeczoną kwestią zainspirowało mnie ukończenie lektury pewnego opowiadania, do którego zabierałem się dobrych kilka lat. W swoim czasie rzeczony fanfik, znany jako „The Ballad of Echo, the Diamond Dog”, cieszył się niesamowitą popularnością. Do dzisiaj zresztą wiele osób z nostalgią wspomina przygody tego wrednego sierściucha.

No dobra, ale co to ma wspólnego ze zmianą postrzegania jako takiego? Spieszę z wyjaśnieniem – otóż kiedyś po lekturze prawdopodobnie zachwycałbym się tym opowiadaniem, czynił „hajp” i domagał się przyznania mu oceny z okolic 10 w każdym możliwym rankingu, rozplływając się jednocześnie nad idealną formą czy niesamowicie pomysłową treścią. No i niesamowitym poczuciem humoru autora. Kiedyś...

Kiedy teraz ukończyłem jego lekturę, dopadła mnie refleksja (znaczy, dopadło mnie ich kilka, ale jedna szczególnie) – te kilka lat w literackim półświatku fandomu bardzo mocno zmieniło sposób, w jaki spoglądam na fanfiki i je oceniam. Miejsce początkowego entuzjazmu i hurraoptymizmu zajęła pewna... zgryźliwość i pesymizm. Cóż, nie da się ukryć, podczas lektur zdarzało mi się trafić na takie „kwiatki”, które powodowały zgrzytanie zębami, plucie nogami i tupanie jadem, co do pewnego stopnia może usprawiedliwiać takie, a nie inne podejście. Na dodatek z tego, co zdołałem zaobserwować, jest to dosyć powszechna przypadłość pośród ludzi, którzy nadal czytają fanfiki.

Czy to dobra zmiana? Tego na pewno nie powiem – mówiąc szczerze, chciałbym móc wrócić do tego pierwotnego stanu, no ale ponoć nie wchodzi się dwukrotnie do tej samej rzeki. Jednak nie jest aż tak tragicznie i w tym właśnie utwierdził mnie wcześniej wspomniany tekst. Obecnie, po wielu ocenionych konkursach, po Oskarach, gdybym miał go oceniać, to dostałby 5/10. No, góra sześć. I byłoby to w pełni uzasadnione, patrząc na to, co autor tam powypisywał i jak to zrobił. A jednocześnie uważam go za doskonałe opowiadanie, które mogę polecić każdemu, ponieważ radość z czytania jest niesamowita.

Wychodzi na to, że nawet dostrzeganie wad, których kiedyś się nie widziało i ogólna, tytułowa zmiana postrzegania fanfików nadal nie jest w stanie zabić czystej radości z ich lektury. I bardzo dobrze!



Falconek – Człowiek za stary na kucyki. Nałogowy gracz i miłośnik literatury s-f. Najchętniej przemieszcza się na rowerze lub konno. Oaza spokoju, opanowania i dystansu.



Słowo o organizacji fandomu

Serial o kucykach zacząłem oglądać dzięki znajomym z pewnej gry komputerowej, co sprawiło, że przez długi czas nie miałem styczności z polskim fandomem, ani nawet świadomości jego istnienia. Kucyki były dla mnie głównie narzędziem do trollowania growych przeciwników, źródłem zabawnych artów, no i autentycznie lubiłem serial.

Kiedy zacząłem zaglądać na polskie fora, od początku uderzyła mnie jedna rzecz: śmiertelna powaga, z jaką wiele osób traktuje serial o kolorowych taboretach. Organizacje, stowarzyszenia, zarządy, regulaminy – tego u nas nie brakuje. Zdarza się, że nawet założenie grupy facebookowej i ustalenie, kto ma być na niej adminem urasta do rangi sprawy politycznej. Przy pierwszych kontaktach z fandomem miałem wrażenie, jakby grupa dzieciaków postanowiła bawić się w dorosłych, dlatego też te pierwsze kontakty na długi czas stały się ostatnimi.

Oczywiście formalna organizacja ułatwia na przykład rozmowy ze szkołami przy próbach wynajęcia sal dla większego meeta czy konwentu. Patrząc jednak na różne fandomowe inicjatywy, warto zwracać uwagę na to, czy ich rozbudowana struktura i zadęcie służy faktycznie robieniu czegoś pożytecznego, czy tylko zaspokojeniu ego niektórych osób i umożliwieniu im poczucia się ważnymi.

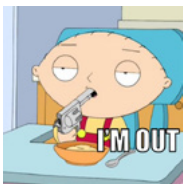
Przecież aby skrzyknąć się na meeta czy rozpocząć jakiś fandomowy projekt, nie potrzeba zarządu

zbierającego się na walnych zgromadzeniach, kilkunastopunktowego regulaminu ani pisanych językiem małomiasteczkowego urzędnika ogłoszeń. W praktyce okazuje się, że inicjatywy spontaniczne, powstałe z zainteresowania tematem, a nie w ramach "prowadzenia działalności", funkcjonują najlepiej, bo ludzie skupiają się na tym, co jest do zrobienia, a nie na swojej pozycji w hierarchicznej strukturze.

Być może jednak – ktoś powie – taka fandomowa polityka, nawet jeśli nie pomaga, to również w niczym nie przeszkadza i jeśli ludzie chcą, to niech się bawią. Otóż moim zdaniem jednak przeszkadza. Mówiąc krótko, psuje atmosferę. Sprawia, że tam, gdzie powinna być zgodna współpraca i samoorganizacja, wkrada się element rywalizacji, towarzyskie gierki i nagle coś, co miało być odskocznią od rzeczywistości, dostarczać zabawy i odprężenia, staje się Wielce Poważną Sprawą. Poza tym powiedzmy sobie szczerze: ciężko nie podejrzewać kogoś, kto dobrowolnie tytułuje się, dajmy na to, "Członkiem Zarządu Fandomu My Little Pony" o to, że taka osoba zмага się z przykrą i nieuleczalną chorobą, jaką jest autyzm.

Na zakończenie moja rada dla świeżych fanów kolorowych koni: nie dajcie się zorganizować, śmiejcie się z autorytetów (szczególnie tych samozwańczych), bądźcie spontaniczni i dobrze się bawcie.





Matyas Corra – przez większość nazywany po prostu Corra. Człowiek który je węgiel na śniadanie, obiad i kolacje. Pochodzi z krainy węglem i miałem płynącej. Serialu nie ogląda od drugiego sezonu a Fandom traktuje jako kabaret. Zazwyczaj bardzo spokojna osoba która nie ukrywa, że lubi być podła. Ogromny fan twórczości Sienkiewicza.

Na wojennej Ukrainie

Do tych, co nie mają o tym pojęcia, więc do 90% osób, które to czyta. Zacząłem w zeszłym roku studia na 1. roku medycyny we Lwowie. Jest to duże miasto na Ukrainie. No właśnie, Ukraina. Kraj, o którym było głośno jeszcze niedawno temu, a u większości Polaków raczej nie ma pochlebnej opinii dzięki pewnej grupie ludzi, która zrobiła to, co zrobiła. Ale nie mam zamiaru tu politykować i rozstrzygać sporów. Chciałem po prostu powiedzieć, jak to niewiele nas różni oraz jak to wygląda dla tych ludzi, u których jednak było zagrożenie wojny ogólnokrajowej.

A więc, sama Ukraina. Nie będę ukrywał, jest to kraj przepiękny. Sam Lwów wygląda jak połączenie najlepszych cech Krakowa, Gdańska oraz Wrocławia. Pięknie zachowane stare budowle, o które się dba, widoki zapierające dech w piersiach oraz otwarci i przyjaźni ludzie. Nowoczesne budowle nie są stawiane w miejsca zabytkowych, a odpowiednio budowane, aby ładnie komponować się ze starymi kamienicami albo też umieszcza się je niedaleko poza centrum miasta. Problemem, który jednak mocno gryzie Ukrainę, są drogi. W Polsce żartuje się, jakie to dziury tutaj mamy i jak to zawieszenie nam się niszczy. Na Ukrainie to zawieszenie się nie niszczy, ono zostaje w miejscu, a samochód jedzie dalej. Ewentualnie wpadacie do jakiejś dziury i lądujecie po drugiej stronie globu. Ale tak nieco poważniej, te drogi, które nie zostały jeszcze wyremontowane, a jest ich bardzo duża ilość, są straszne na samym początku, kiedy człowiek nie jest kompletnie do nich przystosowany, ale po pewnym czasie przestają one być większym problemem.

Co do samych mieszkańców, jak wspomniałem, w zdecydowanej większości są to bardzo mili,

spokojni ludzie, z którymi nie ma co ukrywać, można pić ile się da. Szczególnie jak mówi się im, że jest się Polakiem. Wielu z nich, z racji tego, że jednak Ukraina, będąca poza Unią, która mogłaby ją dofinansować, do bardzo bogatych krajów nie należy, przyjeżdżało do Polski w poszukiwaniu pracy i pieniędzy. U nas młodzi wyjeżdżają do Niemiec, Anglii czy Szkocji, a młodzi ludzie z Ukrainy przyjeżdżają, jeżeli oczywiście mają taką możliwość, tutaj, do Polski, by pracować. W dodatku muszą załatwiać wizę, inaczej nie mają kompletnego prawa wjazdu. Jest to proces czasochłonny i jednak trochę kosztowny, więc nie każdy może sobie na to pozwolić.

A teraz rzecz jednak już bardziej przykra, czyli cała sytuacja na Krymie. Jak by na to nie patrzeć, był to konflikt zbrojny, którego echa słychać do dziś. Wielu ludzi z tamtych rejonów musiało uciekać na zachód kraju, gdyż bali się o swoje życia. Do dziś na ulicach i w sklepach zbierane są pieniądze, by dofinansować żołnierzy, którzy tam stacjonują i czekają na ewentualny ruch ze strony Rosji. Ale jednak.... nie wpływa to na codzienne życie. Ludzie dalej się śmieją, cieszą życiem i starają się chwytać każdy dzień. Nie spotka się na ulicach osób łkających nad losem Krymu. Co najwyżej podejdzie do Ciebie dwóch panów w mundurach i poprosi o parę hrywien na rzecz żołnierzy.

Jeżeli kogoś zaciekało to, co tutaj piszę i chciałby więcej, to spokojnie. Napiszę kiedyś pełen artykuł z rocznego pobytu i studiowania w tamtym kraju. Opiszę, gdzie warto jechać, co zobaczyć w zachodnich rejonach, czego się wystrzegać oraz czego możecie się w pełni spodziewać. A póki co pozdrawiam, до побачення.

Jesteśmy zespołem Bronies Animation Studio (BAS) i przedstawiamy:



**Projekt dąży do stworzenia filmu na podstawie
Fanfików „Rainbow Factory” i „Awoken”
autorstwa Aurory Dawn i Syn3rgy.**

- * Jesteś utalentowanym rysownikiem?
- * Masz smykałkę do animowania i modelowania w 3D?
- * Masz głos idealny do śpiewu?
- * Masz talent aktorski?
- * Lubisz muzykować?
- * A może po prostu chcesz się nauczyć
którejś tych rzeczy?

Jeśli tak,

Jesteś mile widziany!

W ekipie na pewno znajdą się osoby, które chętnie pomogą Tobie w nauce.
Wystarczy, że się czymś wykażesz, a my przyjmimy Ciebie w nasze szeregi.
Gwarantujemy miłą, luźną atmosferę, osoby, z którymi zawsze można pogadać,
oraz przyjemną pracę w projekcie.

Zrobiliśmy już wiele, ale przed nami jeszcze więcej!

Serdecznie zapraszamy!

Zespół Bronies Animation Studio





Zgryźliwy Tetryk Poleca: Przegląd Gier Przedpotopowych

Część 9

Po pewnej przerwie wywołanej lekkim zniechęceniem (oj, niewielu czyta tę serię, niewielu...) postanowiłem się zaprzeć i raz jeszcze przybliżyć kilka świetnych gier z przeszłości.

» *Dolar84*

Battle Bugs

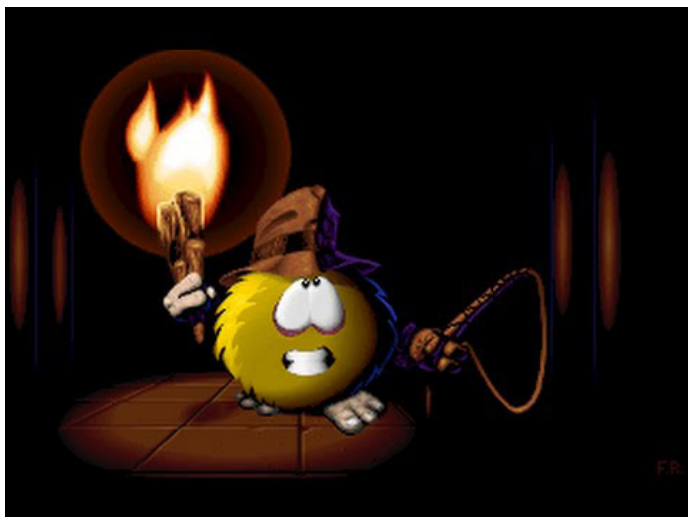


Zacznę od pewnego tytułu, który w 1994 roku okazał się całkiem dużym hitem. Właśnie wtedy Sierra wypuściła grę taktyczną zatytułowaną „Battle Bugs”. Nie byłoby to nic nadzwyczajnego gdyby nie fakt, iż tutaj dostaliśmy pod swoją komendę dosyć... niespotykane wojska. Jak jasno wskazuje tytuł, walkę toczyliśmy za pomocą armii insektów, z których każdy posiada własne, unikalne właściwości. Owszem, brzmi to dosyć absurdalnie, jednak fakt, iż

twórcy potraktowali swój pomysł z przymrużeniem oka sprawia, iż wszystko ładnie do siebie pasuje. Poszczególne jednostki mają mundury, w kolejnej misji wprowadza nas obwieszony medalami generał, a jeżeli dobrze się spisujemy, to sama królowa roju udekoruje nas jednym czy drugim orderem. Oczywiście skoro już ma być wojna, to musi być także wyposażenie – w niektórych misjach dostajemy do swojej dyspozycji bomby, dynamit, kamienie (najskuteczniej walić nimi z góry) czy śmierdzący ser spowalniający natarcie wroga. Armijne robactwo jak na tamten czas prezentowało się świetnie – grafika była niemalże powalająca. Co zaś do samej rozgrywki, po początkowych banalnych poziomach należało się sporo nagłówkować, żeby odnieść upragnione zwycięstwo – wróg z zasady posiadał silniejsze jednostki, więc taktyka „na rympał” bardzo rzadko zdawała egzamin. Ale kiedy się chwilę pomyślało, to nawet tacy przeciwnicy jak Joseph Stalant czy Genghis Ant dawali się pokonać. Z całą pewnością jest to tytuł, po który warto sięgnąć nawet dziś, tym bardziej iż można go pobrać ze strony typu myabandonware czy abandonia. Dodajemy do tego Dosbox i przed nami ponad pięćdziesiąt misji i osiemnaście medali do zdobycia. Na co więc jeszcze czekacie? Za mrowisko!

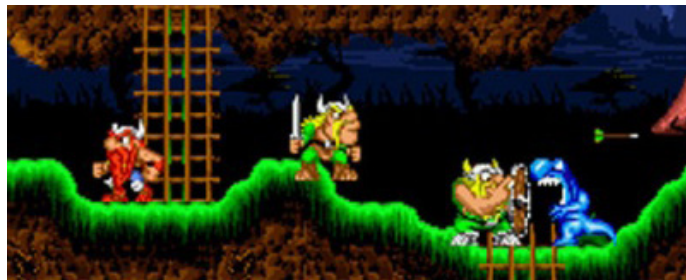


Fury of the Furries



Tym razem zajmiemy się platformówką francuskiej firmy Kalisto, która światło dzienne ujrzała w 1993 roku. Działamy w niej tytułowym futrzakiem o wyglądzie kulki z nogami, który po powrocie na swoją planetę zastaje na niej niezły jubel – oto zły tyran obalił prawowitego władcę i rządzi po swojemu. Przyznaję, że fabuła nie należy do zbytnio odkrywczych, ale na szczęście nie ma ona większego znaczenia. To, co do tej gry przyciągnęło wielu graczy, to świetna grafika, wpadająca w ucho muzyka, a przede wszystkim niesamowita wprost miódność rozgrywki. Jak to w platformówkach bywa, musimy przeprowadzić naszego bohatera przez plansze naszpikowane pułapkami i innym badziewiem. Jednak żebyśmy się nie nudzili, twórcy zadbali o pewne urozmaicenie – otóż nasz futrzak potrafi zmieniać kolor. Każda zmiana daje mu inne właściwości – żółty potrafi strzelać ognistymi kulami, czerwony przegryza się przez niektóre elementy planszy, niebieski pływa i eksterminuje podwodne paskudztwo bąbelkami powietrza, a zielony ma linę i na podobieństwo Tarzana przeskakuje nad wszelkimi przeszkodami. Niestety nie w każdej misji dysponujemy pełną paletą barw, więc czasami trzeba się naprawdę nieźle nakombinować, żeby pokonać kolejne zadanie. Należy również wspomnieć o fakcie, iż gra wprost naładowana jest odniesieniami do książek, filmów, gier i tym podobnych wynalazków. Na przykład ekranem wejściowym przed misjami na pustyni jest futrzak, który dosiada Shai'Huluda (kto czytał „Diunę”, ten wie, o co chodzi), zaś idąc do dżungli, wygląda jak miniaturowy Indiana Jones. Podsumowując, jest to tytuł, po który warto sięgnąć, jeżeli macie chwilę czasu i ochotę, by się naprawdę dobrze bawić.

Lost Vikings



Dopiero zaczynając pisać o tej perełce, zorientowałem się, że tym razem zupełnie odwróciłem chronologię i zamiast zacząć od najdawniejszej gry, to najpierw wziąłem się za najmłodszą. No ale nic – udajmy się do roku 1992, kiedy to firma Silicon & Synapse (obecnie nieco bardziej znana jako Blizzard Entertainment) wydała platformówkę zatytułowaną „Lost Vikings”. Co nam w niej dostarczyli? Otóż na mroźnej północy istnieje sobie wioska wikingów, w której mieszka (między innymi) trójka dzielnych wojowników – Erik, Baelog i Olaf. Chłopy to na schwał, które niczego się nie boją... naturalnie oprócz swoich żon, które wyganiają ich z ciepłych chałup, by ruszyli na łowy i przynieśli strawę dla swych rodzin. Nasi wikingowie naturalnie słuchają się swych połowic, biorą niezbędny sprzęt (rogate hełmy) i podejmują ekspedycję, która będzie miała dosyć niecodzienny przebieg. Otóż w trakcie polowania zostają uprowadzeni przez statek kosmiczny – i tu zaczyna się rola gracza. W czasie misji musimy z zasady przedostać się na koniec planszy, po drodze przełączając odpowiednie dźwignie czy przyciski. Pomocne nam będą w tym umiejętności poszczególnych bohaterów. Erik to prawdziwy demon szybkości – kiedy się rozpędzi i pochyli głowę, to może rozbić niejedną ścianę zagrządzającą nam drogę. Przy okazji jako jedyny potrafi skakać. Rolą Baeloga jest demontaż siły żywej, czego dokonuje za pomocą miecza i łuku. Natomiast Olaf zręcznie używa swojej tarczy – czy to osłoni kumpli przed atakiem, czy zrobi z siebie podpórkę dla Erika, czy w końcu, kiedy znajdzie się nad urwiskiem, użyje jej w roli spadochronu. Dzięki temu zestawowi cech przejście wielu plansz nie jest jakimś wielkim problemem, a na pewno dostarcza masy rozrywki. Przy okazji dodam, iż warto czytać komentarze, które od czasu do czasu rzucają nasi wikingowie – twórcy zadbali, żeby w grze była pewna dawka humoru – najlepiej to wychodzi podczas interakcji bohaterów, gdyż potrafią być wobec siebie nieco bardziej niż krzywkę złośliwi. A przy okazji widzimy, że każdy z nich ma swój własny, unikalny charakter. Jak na czas swojego wydania, „Lost Vikings” miało pyszną grafikę, na którą tak naprawdę do dzisiaj można patrzeć bez bólu. Muzyka również stała na niezłym poziomie, ale i tak najważniejsza była niesamowita grywalność. Z całą pewnością jest to tytuł, po który warto jeszcze kiedyś sięgnąć i to wielokrotnie.



CMC Zdobywają Swoje Znaczkę

Akwarystyka Słodkowodna

Rybki akwariowe to popularne zwierzęta domowe, jednak niewiele osób wie, jak w prawidłowy sposób o nie dbać. Często też są one uważane za nudnych pupili, ponieważ nie można się z nimi bawić i ogólnie nie są zbyt kontaktowe. Ja jednak uważam inaczej, a akwarystką zajmuję się już od 12 lat. Podwodny świat jest bowiem na swój sposób fascynujący, choć oczywiście w inny sposób od psa czy kota. Już same ryby, choć nie mówią, to przejawiają wiele ciekawych zachowań, a przecież na tej gromadzie świat się nie kończy. W akwariach słodkowodnych trzyma się też krewetki, raki, ślimaki, przekopnice, żaby i traszki. Tworzenie aranżacji przy pomocy drewna, skał i roślin urosło już do rangi sztuki. Dlatego pozwólcie, że zabiorę was w podróż do świata rzek, jezior i strumieni.

» *Cahan*

Dlaczego warto

Wiele osób marzy o zwierzątku, ale nie ma czasu na psa czy kota, bądź cierpi na alergię. Tu wybór często pada właśnie na rybki akwariowe, które z pozoru nie uczulają i zajmują mało czasu. Na pewno codzienne dbanie o akwarium jest mniej męczące niż wychodzenie na spacer czy sprzątanie kuwet, ale i tak podczas prac porządkowych zdarza mi się przeklinać moje hobby. Tak, podmiany wody, skrobanie szyb i czyszczenie filtrów nie należą do przyjemności, ale bez tego nie ma akwarystyki.

Jednak jeśli dobrze zaplanujemy nasz zbiornik, to będziemy to wykonywać naprawdę rzadko, nawet raz na parę miesięcy. Odnosnie alergii – same organizmy wodne nie uczulają, ale pokarm dla nich już tak.

Ale przecież miało być o zaletach, a nie wadach... Akwarium to idealne rozwiązanie dla osób zapracowanych. Pozostawienie go samemu sobie na parę tygodni też jest wykonalne, więc nie oznacza angażowania rodziny, sąsiadów i znajomych, jakbyśmy chcieli pojechać na wakacje. Oświetlenie i karmienie można ustawić automatycznie przy pomocy specjalnych urządzeń, więc jeśli jesteśmy bardzo leniwi, to jest to dla nas wspaniałe rozwiązanie.

Akwaria są też po prostu ładnie. Lubię sobie czasami usiąść i popatrzeć, co tam słychać u moich podopiecznych. Taki relaksujący widok pomaga się odprężyć i odstresować. Szczególnie że to żyje. Akwarium jutro nie jest tym samym baniakiem co akwarium dzisiaj. Tworzymy własny mały ekosystem, który żyje swoim życiem. Nigdy nie jesteśmy w stanie w pełni przewidzieć, jak to się potoczy. Nie mówiąc już o wielu możliwościach aranżacji. Pewnie jak słyszycie „akwarium”, to macie na myśli akwarium towarzyskie, czyli takie, w którym mamy totalny miszmasz, żwirek i trzy rośliny na krzyż. Tymczasem może być zupełnie inaczej, ale o tym opowiem później.

Zwierzęta wodne nie są nudne! Czy wiedziałaś, że paletki karmią swe młode śluzem ze skóry rodzi-

ców? Że mułojady w całości zakopują się w podłożu? Że akarki wiśniowe w zależności od okresu przyjmują całkowicie inne barwy? A może chciałbyś zobaczyć, jak niektóre pielęgnice inkubują ikrę w pysku, w którym później chronią się ich młode. Przyczajone drapieżniki? Może żmijogłowa? Ryba z czterema oczami? Czworook da radę. Myślałeś, że ryby głosu nie mają? Poznaj bocję wspaniałą, która nie tylko wydaje słyszalne dla ludzkiego ucha dźwięki, ale i przepowiada pogodę. Uważasz, że płaszczki są epickie? W słodkich wodach Amazonki żyją przedstawiciele rodzaju Potamotrygon, którzy są wcale nierzadko hodowani w akwariach. Tymczasem strzelczyk indyjski poluje, zestrzeliwując owady siedzące na przybrzeżnej roślinności przy pomocy strumienia wody.

Jeśli wciąż nie jesteś przekonany do ryb, to co powiesz na krewetki? W akwariach słodkowodnych hodzi się trzy grupy tych zwierząt: krewetki karłowate, drapieżne krewetki wielkoramiennie i krewetki filtrujące. Pierwsze z nich to łagodne, kolorowe skorupiaki, które świetnie nadadzą się do akwarium towarzyskiego z małymi rybami bądź do osobnego krewetkarium. Pomagają zachować estetykę zbiornika – nie ma lepszego glonojada od krewetki japońskiej, a do tego są po prostu ładnym i ciekawym obiektem obserwacji. Krewetki wielkoramiennie to drapieżniki, których nie należy łączyć z mniejszymi rybami. Natomiast krewetki filtrujące są największe z przedstawionych tu grup. Wyglądają jak małe potwory, ale nie należy dać się zwieść pierwszemu wrażeniu, gdyż te istoty żywią się planktonem i są zupełnie niegroźne dla obsady zbiornika.

A może raczka? Co prawda poza nielicznymi gatunkami nie należy ich łączyć z rybami, ale są to bez wątpienia dość ciekawe i nietypowe zwierzęta domowe. Jeśli zależy nam jednak na łuskowatych przyjaciółkach, to proponuję raki z rodzaju Cambarellus. Nie należy ich za to trzymać razem z krewetkami, gdyż raczki mogą próbować z nimi kopulować, co dla samych krewetek nie kończy się zbyt dobrze.

Niektóre żaby i traszki również nadają się na zwierzęta akwariowe. Tu jednak radzę się dokładnie rozeznać, jaki

gatunek kupujemy, bo pomiędzy karlikiem szponiastym a żabą szponiastą jest ogromna różnica jakichś kilkunastu centymetrów, a młode płazy łatwo pomylić. Traszkom zaś wypadłoby zapewnić możliwość wyjścia na ląd, choćby w postaci roślin pływających, wystających korzeni czy skał.

Od czego zacząć

Jeśli chcemy się w to bawić, to potrzebujemy odpowiedniego zbiornika. Dla osoby początkującej właściwy będzie zbiornik powyżej 50 litrów. Standardowe 112l nada się idealnie. Często ludzie myślą, że małe akwarium jest prostsze w utrzymaniu i jest to błąd. W mniejszej objętości wody równowaga jest mniej stabilna i prościej o zaburzenia różnych parametrów, co może być dla zwierząt wodnych tragiczne w skutkach. Do tego ciężko dobrać jakąś sensowną obsadę do takiego pojemnika.

Akwarium musi stać na płaskiej, wytrzymałej i stabilnej powierzchni. Pomiędzy nim a szafką/stolik/cokolwiek należy podłożyć specjalną podkładkę lub karimatę. Ochroni to nie tylko szkło, ale i samo podłoże przed zniszczeniem. Pod podkładkę radziłabym też dać jakąś ceratę czy inną wodoodporną powierzchnię. I tak czasami się trochę zachlapie, choćby przy pracach porządkowych.

Jeśli chodzi o sprzęt, to potrzebne będą: oświetlenie, filtr, termometr i grzałka wraz z termostatem. Oświetlenie najczęściej mamy w pokrywie zbiornika, istnieją też akwaria otwarte, z lampami opartymi na specjalnych ramach czy zwieszających się z góry. Można też stworzyć zbiornik opierający się na świetle słonecznym, sama posiadam takie krewetkarium, jednak odradzałabym to na samym początku. Standardowy zestaw: akwarium, oświetlenie z pokrywą, grzałka z termostatem, termometr i filtr będą wystarczające. Grzałkę można sobie od-



puścić w przypadku ryb zimnowodnych takich jak karasie złociste (popularne welonki) czy kardynałki. Woda z akwarium powinna siedem razy podczas godziny przejść przez filtr, jednak jeśli zrobi to więcej razy, to też dobrze, mniej... Prz większych objętościach nie ma to szczególnego znaczenia, jednak niech to będzie 5-6 razy, a nie raz czy dwa. Zbyt mocny filtr, który robi „pralkę” to zły pomysł. O oprzyrządowaniu dodatkowym pisać nie będę, zwrócę jednak uwagę na to, że filtr filtrowi nierówny. Zwykły gąbkowy nie poradzi sobie sam w dużym akwarium. 50-60l, nie więcej. Dobre są biologiczne, które mają kilka różnych rodzajów wkładów. Do większych zbiorników stosuje się filtry zewnętrzne. Filtry stanowią miejsce bytowania bakterii, które koniec końców przekształcają szkodliwe związki przemiany materii na nieszkodliwy azot cząsteczkowy. Dlatego nie należy myć ich pod bieżącą wodą. I pamiętajcie – dobry filtr nie jest głośny. Mam w sypialni dwa akwaria i nie słyszę z żadnego jakichkolwiek dźwięków.



Kolejną kwestią jest dobór podłoża. I już na tym etapie powinniśmy się zdecydować, co zamieszka w naszym akwarium. Jego granulacja będzie zależna od wielkości zbiornika i zamieszkujących go ryb. Jeśli będziemy mieć ryby przydenne bądź kopiące, to żwir nie może mieć ostrych krawędzi. Gruby będzie źle wyglądał w małym akwarium, ale świetnie sprawdzi się przy większym litrażu. Piach jest najlepszym podłożem dla ryb przydennych i kopiących, jednak słabo nadaje się dla roślin. Większość zwierząt woli ciemne podłoże, które pozwala też wydobyć z nich głębię barw. Żwirki barwione sztucznie odradzam i osobiście uważam za szczyt kiczu, dodatkowo nie mają one zalet, poza ewentualnymi walorami wzrokowymi. Istotne jest, by podłoże nie zmieniało pH, co jest właściwością niektórych piachów i żwirków marmurowych. Mają one swoje zastosowanie przy hodowli ryb z jezior Malawi, Tanganika i Wiktorii oraz w akwarystyce morskiej. Godne polecenia są wulkaniczne podłoża dedykowane specjalnie dla roślin czy krewetek. Są ładne, wspomagają wzrost roślin, obniżają pH, co jest korzystne dla zwierząt z Azji i Ameryki Południowej, mają łagodne krawędzie.

Gdy już dobraliśmy żwir, to wypadłoby pomyśleć o wystroju. Sprawdzą się skały, korzenie i łupiny

kokosa. Sztuczne ozdoby też mogą być przydatne, a ich użycie to kwestia gustu. Ważne, by nie mieszać ze sobą różnych gatunków drewna, bo wygląda to słabo. Co do skał, to przed użyciem należy sprawdzić, czy nie zmieniają pH wody – wystarczy pokropić je kwasem, jeśli się pieni, to oznacza, że są zasadowe. Tego typu ozdoby spełniają nie tylko funkcję dekoracyjną, zapewniają kryjówki dla ryb i miejsce wzrostu dla podwodnych epifitów.

Rośliny należy dobrać do litrażu, parametrów wody i przede wszystkim do oświetlenia. Standardowe 112l posiada dwie świetlówki 18W, a takie światło jest słabe, bardzo słabe. Sensowne oświetlenie to 0,5W/l, a i ono jest niewystarczające dla wybitnie światłolubnych gatunków. Jednak znajdzie się sporo gatunków czy wręcz całych rodzajów, które świetnie sobie poradzą w takich ciężkich warunkach. Godne polecenia są Vallisneria spp., Anubias spp., Cryptocoryne spp., Microsorium spp., Bolbitis spp. oraz różne wodne mchy i wątrobowce. Wszystkie poza przedstawicielami rodzajów Vallisneria i Cryptocoryne są epifitami, czyli porastają drewno. Wszystkie te gatunki powinny pozwolić wam uniknąć rozczarowań związanych z niepowodzeniami w uprawie roślin.

Po zalaniu wodą akwarium musi przy włączonym i działającym sprzęcie dojrzewać przez minimum dwa tygodnie zanim wpuścimy do niego pierwsze ryby. Jeśli nie chcemy inwazji glonów, to na początku oświetlenie dobrze ustawić na sześć godzin dziennie, a każdego następnego dnia wydłużać je o pół godziny, aż dojdziemy do dwunastu godzin. Po tym czasie możemy wpuścić kilka ryb. Nie wierzcie w to, co powiedzą wam sprzedawcy, bo to, jakie bzdury się słyszy w sklepach zoologicznych,



produkty przemiany materii ryb, które wydają amoniak. Azotany są mniej szkodliwe od azotynów, które są z kolei mniej szkodliwe od amoniaku. Koniec końców z azotanów powstaje azot cząsteczkowy. NO₃- i NO₂- warto badać regularnie, ponieważ parametry te informują nas nie tylko o aktualnym stanie zanieczyszczenia zbiornika, ale i o tym, czy regularna pielęgnacja jest wystarczająca.

przechodzi zebrane pojęcie. Jasne, niektórzy się znali, ale słyszałam już tyle „kwiatków”, że zwłaszcza początkującemu odradzam polegać na radach sprzedających. Kupcie sobie książki, poczytajcie o różnych gatunkach, zróbcie sobie listę obsady docelowej i się jej trzymajcie. A jeśli zainteresuje was jakaś mała rybka w sklepie, to poznajcie jej nazwę, wrzucie w Internet i dowiedźcie się, jakie ma wymagania.

Popularnym błędem jest przerybienie akwarium. Zasady przelicznika na centymetry można wyrzucić do śmietnika. Ogółem jako źródła wiedzy polecam fora specjalizujące się w danych rodzajach ryb i prasę specjalistyczną. Książki niestety są zazwyczaj zbyt ogólne i nie zawierają odpowiedzi na wiele pytań. Często też niepotrzebnie straszą, że jakiś gatunek to zło dla zaawansowanych, a w rzeczywistości wcale tak nie jest. Z doświadczenia wiem, że często jest wręcz dokładnie na odwrót. Dlaczego? Przez to jak ryby dostępne w sklepach są hodowane. Popularne, niby proste gatunki to masówka z azjatyckich ferm. Woda, karma, tony leków... Takie ryby są potem niedostosowane do nowych warunków i szybko padają. Z „rybami dla profesjonalistów” sytuacja wygląda inaczej. Mają konkretne wymagania, więc wystarczy je spełnić i będzie działać.

Pamiętajcie o zakupie testów na azotany, azotyny, pH i GH. Ustalenie tych parametrów jest bardzo ważne. Testy kropelkowe są zazwyczaj dokładniejsze od paskowych. Wiedza o warunkach panujących w akwarium jest podstawą, ponieważ znając wartości wyjściowe, możemy coś z tym zrobić. Azotany i azotyny (odpowiednio NO₃- i NO₂-) mówią zaś o czystości wody, ponieważ są to przetworzone

Co by tu splotzić

Dzisiejsza akwarystyka nie przypomina tego, co miało miejsce kilkadziesiąt lat temu. Tworzenie akwariów dosłownie urosło do rangi sztuki i istnieją nawet specjalne konkursy, które mają odpowiednie kategorie. Nie będę się tu rozpływać o poszczególnych nurtach akwarystyki, ponieważ jest to temat rzeka zdecydowanie nieprzeznaczony dla początkujących. Akwarystyka roślinna nie jest bowiem rzeczą prostą. Jednak nie wszystkie aranżacje wymagają użycia żywych roślin.

Jak już wcześniej wspominałam, najpopularniejsze są akwaria towarzyskie, które łączą ryby i rośliny z różnych biotopów. Oczywiście ich wymagania muszą być zbliżone. Nie łączy się też dużych gatunków z małymi ani ryb o żywiołowym temperamencie z takimi o długich płetwach. Staramy się też zapełnić wszystkie strefy – jeden gatunek przy dnie, jeden pośrodku i jeden przy powierzchni. Większa mnogość gatunków często kusi i jest w porządku, jeśli zrobimy to z głową. Mogę wam powiedzieć jedno: jeśli zaczynacie, to nie ogarniecie tego, pokusa będzie zbyt duża. Zaletą takiego akwarium jest łatwość doboru obsady i roślin oraz wielobarwność.

Akwaria biotopowe często określa się jako coś dla zaawansowanych akwarystów. Nie zgadzam się z tą tezą. Zdobycie wiedzy o tym, jak wygląda dany biotop nie należy do szczególnie skomplikowanych czynności. Dostosowanie zbiornika też. Dlaczego warto? Moim zdaniem nie ma bardziej klimatycznych akwariów. Każdy biotop ma swoją specyfikę, nie do pomylenia z niczym innym. Kiedy się patrzy na takie akwarium, dosłownie przenosi się

w odpowiedni zakątek świata. W samym dorzeczu Amazonki wyróżnia się trzy podstawowe biotopy: czarne wody Amazonki, białe wody Amazonki i kryształowe wody Amazonki.

Wśród obecnych trendów trzeba wyróżnić akwaria w stylu naturalnym (japońskim). Ważną rolę pełnią w nim skały i drewno. Kompozycje mają naśladować krajobrazy takie jak lasy oraz góry. Trzeba przyznać, że umiejętnie zrobione, takie akwarium jest naprawdę piękne. Na dzień dzisiejszy to chyba najczęściej spotykany styl. Cóż, trzeba przyznać, że pasuje właściwie do każdego zbiornika oraz wnętrza. Stworzenie czegoś takiego nie jest jednak łatwą sztuką, więc na początek stanowczo odradzam.

Wyróżnić można też akwaria w stylu holenderskim, które dla większości osób stanowią czarną magię i autorka tego artykułu nie jest tu wyjątkiem. Dość powiedzieć, że jest to roślinny zbiornik dekoracyjny, w którym kompozycję sadzi się według pewnych zasad. O posiadaniu takiego cacka początkujący mogą całkowicie zapomnieć. Efektu nie da się uzyskać bez odpowiedniego sprzętu, przede wszystkim oświetlenia.

Ciekawą rzeczą są akwaria low tech, czyli zbiorniki, które robi się tanim kosztem, które mają działać same, w oparciu o światło słoneczne. Normalne akwarium stawia się tak, by słońce na nie nie padało, low tech przeciwnie. Moje krewetkarium jest takim właśnie zbiornikiem i muszę przyznać, że to rozwiązanie się sprawdza. Low techy są tanie i łatwe w pielęgnacji, ale nie można sobie w nich pozwolić na liczną obsadę.

Gwoli zakończenia

Akwarystyka to temat długi i szeroki. Artykuł miał na celu go jedynie przybliżyć i ogólnie opisać. Bez wątpienia jeszcze zahaczę o podwodny świat w przyszłych artykułach do „Equestria Times”, jednak tam już raczej skupię się na poszczególnych grupach zwierząt lub roślin, tak, bym mogła je opisać w stopniu, na jaki zasługują. Jednak przede wszystkim liczę na to, że dzięki pismu o kolorowych osiołkach mniej żywych istot będzie przeżywać katusze przez niewiedzę ich właścicieli.





Recenzja

„Batman vs Superman: Dawn of Justice”

Przez lata oglądania filmowych adaptacji komiksów mieliśmy wiele mniej lub bardziej udanych produkcji. Scenarzyści i reżyserzy nieraz pokazali, że potrafią nakręcić obraz, który spełnia oczekiwania widza, jak i sporo też było koszmarów zasługujących na obóz zagłady.

» *ARES PRIME*

Jednak tu mamy dwie ikoniczne postacie z uniwersum DC. Postacie, których nikomu nie trzeba przedstawiać, postacie, które każdy zna, kojarzy, kocha lub nienawidzi. Chcemy czy też nie, są one częścią naszej świadomości, niezależnie od wieku. Batman i Superman. Człowiek Ze Stali i Mroczny Rycerz. I jak tych dwóch osobników umieścić na dużym ekranie? Ano zaraz się dowiemy.

Osobiście należę do grona ludzi, którzy lubią film „Man of Steel”, przynajmniej od strony technicznej. Bo tak naprawdę to w nim po raz pierwszy widzimy prawdziwą potęgę Supermana. Szybkość, siłę, latanie, laserowy wzrok... widać, że to niemal bóg. Moje osobiste zdanie, czy nazywać go bogiem, czy nie jest inne, ale to zachowam dla siebie. W każdym razie, kończąc ten wstęp długi jak reklamy w TVN, przejdźmy do sedna.

Sama fabuła filmu skupia się mocno na przedstawieniu postaci Batmana. Na szczęście Ben Affleck rewelacyjnie wypadł w tej roli, miejscami przebijając Nolana. Tu Nietoperz działa od 20 lat, zwalczając przestępców w Gotham, dodatkowo film podsyła nam sugestie, co mogło się dziać przez tamten czas – na pewno miał styczność z Jokerem czy innymi swoimi przeciwnikami.

Widać, że inspiracją był komiks „Return of the Dark Knight”, tę postać ogląda się przyjemnie zarówno jako Bruce’a, jak i Batmana. Zmęczony życiem, ale jednak aktywny i ciągle działający Batman wypadł rewelacyjnie. W każdym razie – świat jest podzielony, część ludzi boi się Supermana, część go uwielbia. Kiedy zostaje odkryty kryptonit, Lex Luthor postanawia pozbyć się Supermana, doprowadzając do ciągu zdarzeń i nastawia dwóch herosów przeciwko sobie. Jednak nie wszystko jest takie, jakie się wydaje na początku.

Odnosnie Supermana... cóż, jemu niestety brakowało jakby empatii. Niby chce dobrze, niby jest traktowany jak zbawca przez większość ludzi, ale czegoś mu brakuje. A wręcz w niektórych momentach razi swoim idiotyzmem i głupotą. Lipa. Jednym z najbardziej wnerwiających postaci jest Lex Luthor i jego zachowanie. Koleś nie dość że jest wg. mnie za młody do roli największego wroga Supermana, to jeszcze ma taki nerwowe, zaburzenia psychiczne i strasznie głupie zachowania, sugerujące osobę stale będącą pod wpływem mefedronu, LSD, kokainy i crocodilo. Ok, rozumiem własną interpretację postaci przez aktora, ale to jest strasznie wkurzające. Zostając jeszcze przy aktorach – tu nie mam większych zastrzeżeń. Doświadczony Jeremy Irons czy piękna Gal Gadot jako Wonder Woman dobrze odegrali swoje postacie. O nich nie mogę powiedzieć złego słowa.

Wielu moich znajomych uważa, że było tu więcej eksplozji niż w typowym filmie Michaela Baya. Ok, jest rozpiarducha, wybuchy i eksplozje wylewają się z ekranu hektolitrami. Ale wiecie co? To akurat dobrze

wygląda. Np. pościg Batmana za ładunkiem kryptonu czy finałowa bitwa w Gotham, to w końcu na to czekaliśmy prawie dwa lata. Zaś tytułowy pojedynek pomiędzy Batmanem a Supermanem to najlepsza scena akcji w filmie. Tu Mroczny Rycerz po raz kolejny udowadnia, że jest w stanie skopać dupsko każdemu przeciwnikowi. Dokładnie przygotowuje się do walki, bezlitośnie wykorzystuje każdą przewagę nad przeciwnikiem i omal naprawdę nie zabija Supermana. Ten drugi zaś nie powiem, naprawdę dobrze walczy, ale jednak Batman jest moim faworytem.

Jako że ten film jest fundamentem do swoistego DC Cinematic Universe, to dostaliśmy też wzmianki o innych herosach, metaludziach. Ponoć od dawna żyją wśród nas, jak choćby taka Wonder Woman... tyle że może filmie łaskawie wytłumaczysz, skąd oni się, do pierona jasnego, wzięli?! Czy ten film ma jakieś powiązania z serialowym Flashem, Arrowem czy DC Legends?! Co z tego, że widzimy Aquamana, Cyborga, Wonder Woman czy pojawiające się znikąd cameo Flasha (ciekawe, które to wcielenie, bo tego też film nie wyjaśnia). Wiadomo, że istnieją. Tylko skąd? Oj, filmie, ja nie lubię, jak się mnie robi w ciula. Inni widzowie zresztą też. Przymijmy więc, że seriale DC to odrębne uniwersum całkowicie niezwiązane z filmowym, co jednak nie zmienia faktu, że scenarzyści i reżyser puścili nas w trąbę.

Więc co dokładnie jest nie tak z tym... obrazem? To, że próbowano w niego wcisnąć ZA DUŻO naraz. Mamy Batmana, mamy Supermana, Wonder Woman, plus wiadomo kogo u badassów. I tyle powinno wystarczyć. Dodano tu jednak masę wątków, które nie wnoszą kompletnie nic, tak mącą ci w głowie, że nie wiesz,

co się dzieje, nagłe przeskoki ze sceny na scenę – to wszystko naprawdę psuje radochę z oglądania tego filmu. Kurde, dwie ikony komiksów, najlepsi z najlepszych wypadają tu po prostu błado. Nawet Batman nie ratuje tego filmu, a szkoda, bo Afleck serio sprawdził się w tej roli mimo wielu głosów sprzeciwu. I o ile DC robi świetne seriale i filmy animowane, to niestety Marvel ma zdecydowanie lepsze i bardziej dopracowane filmowe uniwersum w każdym wątku i aspekcie. Tam każdy bohater jest po prostu sobą, nie robi się z tych filmów mrocznej epopei, jak w BvS. Marvel budował swoje uniwersum latami, a DC choćby się zesrało na rzadko, to teraz tego nie dogoni. Przykład macie z tego filmu. Ale dobra, pomyje, które wylałem na ten film, już mi się skończyły. Czy film jest dnem? No nie, bo mimo wszystko z kina wyszedłem z przekonaniem, że te 20 zł za bilet nie były pieniędzmi straconymi. Teraz tylko czekać na mój powrót z „Civil War” i to uczucie uświadomienia, jak film Marvela dosłownie rozwalcał „superprodukcję” Snydera jak radziecki buldożer na ropę. Widziałeś film i zapłaciłeś za to – twoja strata i wyjdź mi z tego miasta. Lepiej obejrzeć to w necie za darmo.

Daję filmowi w skali szkolnej 3 z minusem. Ja i tak za dobry człowiek jestem... to mnie kiedyś zgubi, ja wam powiadam. Niebawem idę na kolejny komiksowy seans filmowy, mianowicie Civil War. I mam nadzieję, że dzięki temu zmyję paskudny smak po Dawn of Justice. I nie martwicie się, reckę o CW też napiszę by was dalej katować moją pisaniną. Ech... jestem złym człowiekiem.

Do zobaczenia, dzieciaczki.





Recenzja cyklu „Z Mgły Zrodzony”

Zachęcony „Drogą Królów”, sięgnąłem niedawno po starszą (pierwszy tom ukazał się dziesięć lat temu) serię **Brandona Sandersona**. I znów dałem się całkowicie pochłonąć lekturze.

» aTOM

Ostatnio zauważyłem, że opisy typu „epicka i niesamowicie odkrywczą saga fantasy” pojawiają się pod niemal każdą książką z szeroko rozumianego gatunku fantastyki. Do sporej części z nich ten opis pasuje jak zaklęcie ognistej kuli do biblioteki, ale są wyjątki. Zalicza się do nich między innymi właśnie cykl „Z Mgły Zrodzony”.

Pozwólcie, że zacznę od opisu świata przedstawionego, albowiem jest to prawdziwe чудо. Oto mamy krainę od setek lat zasypywaną popiołem, w której niemal nic nie rośnie i która regularnie nawiedzana jest przez gęste mgły. W tych nieprzyjemnych warunkach żyją jednak ludzie, a władzę absolutną nad nimi od tysiąca lat sprawuje Ostatni Imperator. I nagle pojawia się ktoś, kto postanawia się przeciwstawić bezwzględnemu władcy i szykuje powstanie mające go pozbawić tronu. A pomoc ma mu w tym młoda złodziejka, która okazuje się mieć zdolność do korzystania z magii zarezerwowanej jedynie dla szlachetnie urodzonych...

Ten prosty, zdać by się mogło, punkt wyjścia stanowi podstawę do jednej z najbardziej zapląta-

nych fabuł, jakie widziałem. W dodatku z każdym kolejnym tomem stopień zaplątania rośnie. Na szczęście autor po raz kolejny udowadnia, że nie tylko potrafi stworzyć intrygujący świat i zawiłą fabułę, ale też skutecznie udaje mu się nie wpaść we własne sidła i nie zagubić w mnogości wątków, dzięki czemu finalnie wszystko jest wręcz nieprawdopodobnie elegancko wyjaśnione. Co prawda w pewnym momencie czytania naprawdę zacząłem mieć obawy, że losy świata rozbiją się o źle postawiony przecinek w proroctwie czy inną trywialną rzecz, ale najpewniej wynikało to z mojej niewiary w możliwość rozwiązania tego fabularnego węzła gordyjskiego bez uciekania się do schematu Deus Ex Machina. Tym większe i bardziej pozytywne było moje zaskoczenie pod koniec lektury.

Wspomniałem wcześniej o magii, bez której żadna książka fantasy nie może się obejść. Tym razem nie mamy jednak do czynienia z typowymi zaklęciami, ale z Allomancją, czyli zdolnością spalania w żołądku niewielkich ilości metali, aby przykładowo zwiększyć swoją siłę. Najpotężniejsi przedstawiciele tej sztuki to tytułowi Z Mgły Zrodzeni, którzy potrafią spalać każdy metal. Brzmi dziwnie, ale cała koncepcja została opisana niezwykle jasno i niemal od razu się do niej przyzwyczajamy. I zaraz potem możemy cieszyć się majstersztykiem, jakim są opisy walk czy nawet zwykłego przemieszczania się ludzi posiadających te zdolności.

À propos walk – dla nich samych warto sięgnąć po tę trylogię. Akcja wprost wylewa się z kartek, a my możemy zaobserwować też ciekawy paradoks – mimo nadnaturalnych skoków czy błyskawicznych ciosów, wszystkie są zgodne z prawami fizyki, co nieraz podkreślają sami bohaterowie! Owszem, główna postać, czyli Vin momentami zdaje się być nieco OP, zwłaszcza w czasie starć z innymi, teoretycznie bardziej doświadczonymi Allomantami, lecz na szczęście nie czuć tego aż tak mocno.

Jedyne, do czego mógłbym się doczepić, to zbyt przegadanie niektórych fragmentów. Widać to zwłaszcza w scenach narad bohaterów (które pojawiają się niemal w każdym rozdziale), kiedy to powtarzają oni po raz n-ty, w jakiej to beznadziejnej sytuacji znów się zna-

leźli. W pewien sposób podsycą to faktycznie uczucie bezsilności, jakie czują, ale po jakimś czasie było tego dla mnie po prostu za dużo. Nie licząc tego szczegółu, postaci są wykreowane barwie, ciekawie i cholernie ludzko. Naprawdę można je polubić, a taki np. Marsh czy Sazed to klasa sama w sobie.

Poza postaciami ludzkimi mamy też okazję poznać przedstawicieli innych ras, choć ci zaczynają grać większą rolę dopiero w dalszych częściach serii. Ale za stworzenie rasy kandra należy się Sandersonowi kilogram atium (najwartościowszy metal w świecie „Z Mgły Zrodzonego”). Galaretowate stworzenia, które potrafią naśladować ludzi poprzez ich uprzednie zjedzenie i owinięcie się wokół kości denata. Jednym słowem: podmieńce w nieco obrzydliwszej wersji. Trzeci tom cyklu stał się moim ulubionym, gdy tylko zobaczyłem, że jeden z przedstawicieli tej rasy dostanie parę rozdziałów na wyłączność i że dzięki temu poznamy historię tychże stworzeń.

Książkę, swoim zwyczajem, czytałem w oryginale, toteż trudno mi się odnieść do polskiego tłumaczenia. Jednakże przeglądając fora, nie natrafiłem niestety na zbyt pochlebne opinie – jest co najwyżej dobre i zawiera np. kwiatek pod postacią przełożenia przezwiska jednego z bohaterów na „Upiorek”. Brrr...

Podsumowując – Sanderson wykreował niesamowity świat i osadził w nim jeszcze bardziej niesamowitą historię. Zwroty fabularne, wartka akcja i intrygujący bohaterowie to największe zalety tej trylogii, którą szczerze polecam każdemu wielbielowi fantasy.



You:

There's some kind of cat plush on here.



Lone Survivor – recenzja gry

Wśród silących się na artyzm gier niezależnych, które łączy stylizowana na ośmiobitowe konsole grafika i mniej lub bardziej rozbudowany system karmy (tak, piję do przereklamowanego „Undertale”), łatwo jest przegapić prawdziwe perełki. Jedną z nich jest „Lone Survivor” – gra wydana w 2012 roku przez jednoosobowe studio Superflat.

» *Falconek*

Gra jest horrorem o zombiakach z niesamowitą ścieżką dźwiękową, dobrze zrobioną grafiką retro, uroczym wątkiem z kotem i zaskakującym zwrotem akcji.

W „Lone Survivor” nie znajdziemy jednak straszenia litrami krwi czy wyskakującymi zza każdego rogu potworami. Zamiast tego gracz mierzy się z koszmarami własnej wyobraźni i ludzkiej natury, wspomnieniem śmiertelności rzucającym cień na wszelkie nasze zamierzenia.

Od strony mechaniki rozgrywki gra jest side scrollerem o charakterze przygodówki. Gracz porusza się w lewo i w prawo, rozmawia z postaciami niezależnymi i zbiera przedmioty potrzebne do rozwiązywania posuwających fabułę naprzód zagadek.

Rzuca się w oczy szczegółowość i spójność świata przedstawionego. Postać gracza ma ciekawe komentarze na temat niemal każdego obiektu, a przedmioty, które można znaleźć, mają logiczne i przewidywalne w skutkach zastosowania. Jest na przykład ekspres

do kawy, który należy napełniać kawą, aby działał, czy Gameboy, którego używanie ma ciekawe skutki: jedna gra dziennie poprawia zdrowie psychiczne postaci, ale zbyt długi czas spędzany przy nim ma efekt wręcz przeciwny.

Mimo że w grze pojawiają się wrogo nastawione potwory, walka jest stosunkowo nieistotną częścią rozgrywki. Gracz częściej będzie się krył przed koszmarami, niż do nich strzelał, a więcej czasu spędzi na przygotowywaniu jedzenia, niż na mordowaniu. Jednak to właśnie mała częstotliwość walk sprawia, że każde starcie jest szczególnie emocjonujące – podobny efekt udało się osiągnąć na przykład w pierwszym „Stalkerze”.

Chwilę uwagi warto poświęcić ścieżce dźwiękowej. Jasper Byrne, autor „Lone Survivor”, jest przede wszystkim muzykiem, dopiero potem twórcą gier i to słycać. Muzyka jest jednym z kluczowych elementów budujących nie tylko nastrój, ale i samą opowieść. Przez większość gry towarzyszą nam melancholijne dźwięki fortepianu, skrzypienia i trzaski, jednak przykładowo, w pewnym momencie gracz znajduje się w pomieszczeniu, gdzie zza ściany dobiegają przytłumione dźwięki jazzowego utworu. Ta muzyka jest czymś niespodziewanym i zarazem pierwszą sugestią niespójności między tym, co postać widzi a rzeczywistością.

Wybory moralne w grze nie sprowadzają się do prymitywnego „zabij albo daj żyć” i najczęściej gracz nie będzie wiedział, kiedy ich dokonuje, a zakończenie jest otwarte i refleksyjne. Gra jest oryginalna, pięknie skonstruowana i skłania do przemyśleń – polecam.



Film „Deadpool” – recenzja

Na samym wstępie chciałbym zaznaczyć, iż będą lekkie spoilery, ale nic, co mogłoby zepsuć wam kompletnie film. Natomiast jeżeli jesteście na te rzeczy kompletnie uczuleni, zobaczcie film, a dopiero wtedy przeczytajcie tę recenzję. Na kinowego „Deadpoola” czekałem długo, albowiem już w 2004 zaczęły się prace nad filmem, a w 2014 roku wyciekł test footage. Jako człowiek, który uwielbia zarówno samą postać, jak i komiksy, nie mogłem się doczekać premiery. I, będąc szczerym, w filmie się zakochałem. Ale teraz emocje opadły, film zobaczyłem na spokojnie jeszcze raz i myślę, że w końcu pora na wyrażenie własnej opinii.

» *Matyas Corra*

Ale zacznijmy od samego początku. Dla niewtajemniczonych – Deadpool jest postacią z Marvel Comics. Był on parodią postaci należącej do DC, a mianowicie Slade’a Wilsona AKA Deathstroke’a. Już samo imię Deadpoola, czyli Wade Wilson jest żartem z bohatera DC, a na tym podobieństwa obu panów się nie kończą. Obaj to najemnicy, obaj są doskonale wyszkoleni w sztukach walki i używaniu szerokiej gamy broni palnej. Zarówno o jednym, jak i drugim mógłbym pisać i pisać, i zapewne cały numer magazynu by nie starczył na zamieszczenie wszystkich informacji. Na szczęście wiedza, jaka jest wam potrzebna, aby świetnie bawić się na tym filmie, jest wręcz znikoma. Deadpool jest

antybohaterem, który ma bardzo różne podejście do wykonywania swojej pracy. I tyle, nic więcej nie jest potrzebne. I to dla mnie jest już duży plus tego filmu. Po widowiskach takich jak „Amazing Spider-Man”, „Fantastyczna Czwórka” czy też „Hulk”, w których po kilka razy pokazywano genezę bohatera, bardzo przepraszam za wyrażenie, ale aż do porzygu, geneza Deadpoola jest pokazana w bardzo przyjemny sposób oraz tłumaczy nam, co motywuje pościg głównego bohatera za Ajaxem (nie płynem do sprzątania, a głównym złym filmu).

I chociaż chciałbym powiedzieć o filmie same dobre rzeczy, jest też kilka, które mi nie do końca przypadły do gustu. Zacznijmy najpierw od plusów, gdyż samych minusów jest malutko, a też nie o to chodzi, by czepiać się tylko złych rzeczy. Ryan Reynolds w roli Deadpoola jest idealny. Jest to aktor, który już nie pierwszy raz gra postać komiksową, ale widać, że to właśnie w tej postaci czuje się idealnie. Zarówno na ekranie, jak i w materiałach dodatkowych czy promocyjnych Reynolds pokazuje, iż kocha tego bohatera tak jak my, że czuje się swobodnie, jest nieskrępowany tym, co robi, oraz że Deadpool to właśnie ta rola, która w końcu przypadła mu do gustu (patrz na ciebie, Green Lantern). Kolejną rzeczą zasługującą na duży plus jest to, jak Tim Miller, reżyser „Deadpoola”, poradził sobie z jednak bardzo dużym wyzwaniem. Wiedział, że fani, którzy zobaczyli test footage, czekają na film w takim

tonie, w jakim są utrzymane komiksy. Wiedział też, że musi zrobić film, który przypadnie do gustu także ludziom kompletnie niezwiązanym z komiksami, bo nawet jeżeli wierni fani będą zachwyceni, to nie wygenerują oni sami takich profitów, by film przyniósł zyski, nie mówiąc już o kolejnych częściach. I udało mu się, zarówno wierni fani, jak i nowi widzowie pokochali ten film. Prawda, były głosy sprzeciwu, jak na przykład do słynnej sceny w filmie, w której główny bohater świętował ze swoją ukochaną Międzynarodowy Dzień Kobiet, ale nie miały one większego znaczenia, gdyż już w samych dniach premierowych „Deadpool” zarobił przepiękne 761 milionów dolarów na całym świecie. Co to oznaczało? Iż film, na który wydano 58 milionów, zarobił 13 razy tyle, ile na niego przeznaczono, bijąc przy tym kilka rekordów. Teraz co do pozostałych postaci. Jakby na to nie patrzeć, każda mi się podobała, od biednego kierowcy taksówki, który zabiera Deadpoola na miejsce akcji w pierwszych minutach filmu aż po samego Ajaxa, każda miała coś niesamowitego do pokazania ze swojej strony i przyjemnie się je oglądało. Jedyną rzeczą, jakiej żałuje w tym wypadku jest to, iż Bob nie dostał dłuższej roli, ale to akurat coś, na co tylko fani komiksów mogą narzekać.

A teraz, co do minusów. No cóż, jak też powiedziałem, nie będzie ich dużo, a dokładniej trzy. Po pierwsze, główna miłość naszego bohatera. Według mnie, ta bardzo dobrze napisana postać i świetnie zagrana została summa summarum sprowadzona pod koniec do roli kobiety w opałach. Nie było to zrobione nachalnie, ale jednak zauważalnie, co nie wszystkim może przypaść do gustu. Kolejną rzeczą jest to, iż niestety widać, że film miał budżet tylko 58 milionów \$. Choć dla nas taka suma wydaje się ogromna, należy pamiętać, że rozmawiamy o filmie wprost z USA. Budżet takich rozmiarów to w świecie filmowym niewiele. Niektórzy aktorzy potrafiliby zarobić tyle za jeden film, a pamiętajmy, iż mówimy tu o całej produkcji,

opłaceniu wszystkich aktorów, poprawkach komputerowych etc. Ostatnim minusem jest natomiast samo podejście do sposobu przedstawienia historii i motywacji naszego bohatera. Nie mówię, że było ono złe, ale przechodzenie z wydarzeń aktualnych do tych, które miały już miejsce, potem powrót do aktualnych i później znów do tych z przeszłości... Cóż, szczerze mówiąc, mi ten zabieg filmowy nigdy się nie podobał. I nie mówię, że zostało to wykonane źle, czy też w jakikolwiek sposób odbiera przyjemność z oglądania filmu. Stwierdzam tylko, że sam nie jestem wielkim fanem czegoś takiego, ale to tylko moja subiektywna opinia. Pamiętajmy, że jednak recenzja filmowa, szczególnie w takim magazynie, to jest nie jest coś, czym powinno się jasno sugerować i co powinno tworzyć Waszą opinie.

Podsumowując, mogę powiedzieć tyle: film był świetny, choć może nie perfekcyjny w każdym calu. Można się na nim ubawić i czerpać z niego przyjemność, nawet będąc kompletnie niezaznajomionym z tą postacią. Mogę wam go z całego serca polecić i powiedzieć jasno: idźcie i oglądajcie, jak to nasz wyszczekany najemnik pokazuje, że jest najlepszy w tym, co robi, a to, co robi, nie jest za bardzo miłe.





Film „Ant-Man” – recenzja

Recenzja ta zawiera niewielkie spoilery. I tak oto kolejny raz wujek Marvel wypuścił nowy film w świat. A jak wypadł? No cóż, przekonajmy się.

» *Matyas Corra*

Historia naszego prawdziwego bohatera zaczyna się w 1989 roku, kiedy to Hank Pym, pierwszy Ant-Man zarówno w filmach, jak i komiksach, rezygnuje z pracy w T.A.R.C.Z.Y po tym, jak dowiaduje się, iż jego formuła pozwalająca żywym organizmom zmniejszać się do rozmiarów nawet atomowych miała zostać skopiowana na rzecz wyżej wymienionej agencji. Przenosimy się w czasie do dzisiejszych czasów, gdzie jego córka Hope oraz były asystent i uczeń, Darren Cross, pozbyli się Pyma z jego firmy, a teraz sami rozpoczęli prace nad tajemniczą formułą pozwalającą na zmniejszanie się bez ryzyka śmierci.

I teraz ci, którzy widzieli już film, pewnie zadają sobie pytanie, dlaczego opisuję jako głównego bohatera Hanka, a nie Scotta, byłego więźnia, który próbuje związać koniec z końcem, starając się o spotkania z własną córką i utrzymaniem się w legalnej pracy. Jest to bardzo proste. Jak wcześniej wspomniałem, pierwszym komiskowym Ant-Manem był właśnie Hank Pym. I jak najbardziej zgadzam się z tym, że to Scott jest pokazany w momencie, gdy uczy się używać kostiumu i to on na końcu zostaje głównym bohaterem. Ale jednak ja odniosłem jednak wrażenie, iż głównym bohaterem jest właśnie Hank, genialny człowiek, który stworzył wielce potężną,

ale też niebezpieczną formułę, która może być użyta zarówno do dobrych celów, jak i złych. Może pomóc ludziom, ale może też stworzyć niepowstrzymaną armię, która będzie nienamierzalna dla wroga. Ale to już moja subiektywna opinia.

A jak wypadł sam film. Otóż muszę powiedzieć, że był... ok. Nie zrobił na mnie niesamowitego wrażenia, nie powalił mnie na kolana jak „Avengers”, który zszokował cały świat poziomem swojego wykonania. Był to bardzo przyjemny, bardzo dobrze zrobiony film dla całej rodziny. Świetnie pokazane sceny, kiedy Scott zmniejsza się i powiększa, budowanie relacji z mrówkami, które stawały się zarówno jego sojusznikami, jak i narzędziem walki, oraz oczywiście Anthony, wierny rumak Scotta. Nie spodziewałem się nigdy, że będę tak kibicował mrówce. Cóż, człowiek uczy się całe życie. Jak też wspomniałem, nie zostałem niesamowicie zszokowany samym sensem. Poszedłem z pełnym przekonaniem, że nie jest to takie niesamowite widowisko, do jakiego przyzwyczaili nas „Avengers”, i taki też film dostałem. Miły dla oka, który można spokojnie obejrzeć razem z rodziną w niedzielne popołudnie.

Krótko podsumowując, film jak najbardziej polecam. Jeżeli spodziewacie się wielkich wybuchów co pięć minut, niesamowitych scen walki i ciągłej akcji, to zawiedziecie się. Jeżeli będziecie ten oglądać go z pełnym przekonaniem, że chcecie obejrzeć dobrze zrobiony obraz o superbohaterach, z kilkoma scenami walki oraz fabułą, która ma sens i trzyma się kupy, jak najbardziej spędzicie miło czas.



Neon Genesis Evangelion

Ponieważ najwyraźniej stare, dobre „Equestria Times” ewoluje w „Anime Times”, pozwoliłem sobie napisać recenzję kolejnego serialu animowanego prosto z Kraju Kwitnącej Wiśni. Tym razem mamy do czynienia z produktem wysmienitym i niemal wręcz kultowym, chociaż dość starym.

» *Gandzia*

Jest rok 2015. Na całym świecie wciąż widoczne są ślady Drugiego Uderzenia – katastrofy, do której doszło pod koniec XX wieku na Antarktydzie. W jej wyniku zginęły miliony ludzi, a poziom oceanu znacznie się podniósł, zatapiając znaczne połacie lądu. Jakby tego było mało, ludzkość musi się mierzyć z tajemniczymi Aniołami – potężnymi potworami, które z uporem godnym lepszej sprawy atakują Tokio-3 i mieszczącą się tam kwaterę organizacji NERV. Walczyć z nimi mogą jedynie równie ogromne mechy, określane jako EVA. Problem polega na tym, że pilotować je mogą jedynie wybrane nastolatki. Jednym z takich pilotów jest Shinji Ikari – główny bohater całej serii.

Brzmi jak fabuła typowego anime z gatunku mecha, w którym protagonista pokonuje kolejnych wrogów, w tak zwanym międzyczasie budując swój mały haremik? Brzmi i z początku wszystko wskazuje na to, że tym właśnie „Evangelion” jest. Jednakże szybko okazuje się, że odpowiedzialny za tę produkcję Hideaki Anno zadbał o to, by

było inaczej. Fabuła jest zakręcona niczym rogi muflona, zawiera niejedną zwrot akcji i pełna jest tajemnic. Jaki jest cel Aniołów? Co planuje zagadkowa organizacja SEELE i ojciec głównego bohatera? Jaki sekret skrywa Rei Ayanami, milcząca pilotka prototypowej Ewy? Jakby tego było mało, okazuje się, że każda z postaci ma jakieś problemy z psychiką i własną przeszłością, i to tak poważne, że nie pomogłaby im cała armia psychologów i psychiatrów z samym Freudem na czele. Efektowne walki schodzą na dalszy plan, zaś anime zaczyna bardziej koncentrować się na przeżyciach bohaterów i ich problemach. Generalnie więc zarówno postaci, jak i fabuła są mocnymi stronami tego serialu.

Od strony technicznej nie można „Evangelionowi” nic zarzucić. Wprawdzie anime powstało w latach 1995-96, więc jest niejako z zeszłej epoki, jednak charakterystyczna kreska sprawdza się idealnie. Na uwagę zasługuje zwłaszcza projekt Aniołów i Ev – te drugie poruszają się zaskakująco szybko i zwinnie jak na swoje rozmiary, zaś te pierwsze nieraz przybierają nietypowe kształty, różnią się też metodami walki. Zaczynamy więc od typowego kłona Godzilli, a kończymy na mentalnych gwałtach i... a to już zobaczycie sami, gdyż nie chcę zdradzać fabuły.

Ścieżka dźwiękowa? Śmiem twierdzić, że bije na głowę OST z recenzowanego w tym numerze „Girls und Panzer” – mówię tu oczywiście o utworach autorskich, bo z klasykami pokroju

„Katuszy” konkurować ciężko. Tak się jednak składa, że opening „Neon Genesis” nawiązuje z wariacjami na temat marszów wojskowych równą walkę. „Cruel Angel’s Thesis” z łatwością wpada w ucho, trudno o nim zapomnieć i słucha się go z przyjemnością. Pozostałe kawałki idealnie wpasowują się w akcję i pozwalają lepiej poczuć klimat opowieści, zaś piosenka przygrywająca podczas finałowych scen „The End of Evangelion” – filmu będącego faktycznym zakończeniem serii – to perełka sama w sobie.

Anime ma jedną zasadniczą wadę – zakończenie, które jest tak nietypowe, że na jego cześć nazwano motyw na TVTropes. W pewnym momencie twórcom serialu skończyły się fundusze, więc ostatnie odcinki drastycznie różnią się od pozostałych – są pozbawione akcji, bardziej statyczne i skupione wyłącznie na psychologii, w dodatku finał nie zamyka wielu wątków. Dla mnie nie była to wada – zmiana wywołała raczej spore zaskoczenie, gdyż spodziewałem się czegoś innego, jednak koniec serii nie każdemu musi się spodobać. Na pocieszenie powiem jednak, że twórcy postanowili pójść za ciosem i w 1997 wypuścili film będący faktycznym zakończeniem „Neon Genesis” – wspomnianego już „The End of Evangelion”. Tam postarali się, by zamknąć wszystkie wątki, przy okazji zapewniając rozrywkę zarówno fanom akcji, jak i tym, którzy docenili obecną w anime symbolikę i psychologię... i który też może nie spodobać się niektórym widzom, chociaż stanowczo zachęcam do samodzielnego sprawdzenia, o co tam chodzi.

No i jakby komuś nie spodobały się dwie wersje zakończenia, twórcy przygotowali serię filmów z alternatywnym przebiegiem wydarzeń, zatytułowanych „Rebuild

of Evangelion”. Są one ciekawe i przyjemne w odbiorze, zaś zmiany w historii są logiczne i nie tworzą dziur fabularnych. Niestety, premiera czwartej i ostatniej części serii została niedawno przesunięta na czas nieokreślony.

Reasumując – „Neon Genesis Evangelion”, chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się kolejnym anime o mechach, jakie robi się w fabryce według jednego wzoru, szybko okazuje się dziełem wybitnym, które mogę z całego serca polecić każdemu. Nie biorę tylko odpowiedzialności za gorzkie żale tych czytelników, którym nie spodoba się zakończenie, ani za ewentualne koszmary wywołane tymże finałem całej opowieści!



atryl.tumblr



Girls und Panzer

Zbiór miniartykułów

O co chodzi – zapyta się pewnie niejedyn czytelnik, który zobaczy ten enigmatyczny podtytuł. Cóż, autorzy, którzy brali udział w pracy nad tym tekstem, mieli tak różne podejścia, że nie dało rady zamknąć tego w klasyczne ramy „oceny odcinków”. A ponieważ teksty były zbyt małe, by dla każdego przygotowywać pełnoprawny artykuł w składzie, zostały one zebrane pod jednym tytułem, mimo iż każdy dotyczy czego innego. Nie zmienia to jednak faktu, że zapraszamy i zachęcamy do czytania, czy to całości, czy tylko aspektów, które was zainteresują.

Czołgistek w miniówkach recenzja skrócona Gandzia...

... Bo Gandzia pozapominał poszczególne odcinki, a nie ma czasu na powtórkę.

» Gandzia

„Girls und Panzer” to całkiem przyjemne anime od Actas. Fabuła serialu kręci się wokół drużynowych mistrzostw w walce przy użyciu czołgów, rozgrywanych między kilkoma liceami. Ponieważ w użyciu jest sprzęt pochodzący z II wojny światowej (tak zwana „broń XX wojenna”), „Girls und Panzer” można określić jako „World of Tanks” w wersji anime.

Opowiadana tu historia jest prosta i nieskomplikowana, jest tylko pretekstem do kolejnych, coraz to trudniejszych starć. Wbrew pozorom,

można to uznać za zaletę – w połączeniu z dość miłym humorem, często ocierającym się o absurd („Jazda czołgiem sprawi, że będziesz dobrą matką i wspaniałą żoną”) tworzy przyjemny klimat luźnej komedii.

Bohaterki to raczej typowe dla „chińskich bajek” postaci licealistek. Zostały one wykreowane przyzwoicie i można je polubić, chociaż o wielu dość szybko zapomnimy. Są oczywiście wyjątki, choćby rewelacyjny duet Nonny i Katyushy. Do tego mamy czołgi, które stają się niejako dodatkowymi bohaterami serialu – oddane zostały z wyjątkową dbałością o szczegóły, więc nawet największy fanatyk wojsk pancernych nie powinien kręcić zbytnio nosem... No, może z wyjątkiem kilku scen, w których możliwości tych pojazdów zostały podrasowane.

No i wreszcie mamy sceny batalistyczne. Te zrobione są pomysłowo – praktycznie w każdej czołgi protagonistek są słabsze i mniej liczne, więc główne bohaterki muszą nadrabiać braki dobrą taktyką. I chociaż niektóre zagrania wydają się odrobinę nielogiczne, vide driftowanie czołgiem, to samo podejście do bitew i ich wykonanie zasługuje na uwagę.

Na koniec zostawiłem stronę techniczną – ładną kreskę, idealnie wpasowującą się w klimat anime, i przyjemną dla ucha muzykę. Ta ostatnia szczególnie zasługuje na uwagę, a to z tego powodu, że w soundtracku wykorzystano kilka pieśni wojskowych. Dość powiedzieć, że girlsundpanzerowa

wersja popularnej „Katuszy” szturmem zdobyła serca redakcji...

Z całego serca polecam zapoznanie się z „Girls und Panzer”. Wprawdzie niektórych może odrzucić dość wybiórcze podejście twórców do realizmu, a humor nie każdemu przypadnie do gustu, jednak gdy przymknie się na to oko, otrzymamy przyjemną w odbiorze, wesołą komedię. Gdyby komuś nie wystarczało 12 odcinków serii podstawowej, twórcy przygotowali kilka krótkich OVA stanowiących uzupełnienie podstawowej fabuły serialu.

Girls und Panzer – recenzja odc. 1

Girls und Panzer to serial anime opowiadający o perypetiach grupy uczennic z klasy czołgowej w żeńskim liceum. Dziewczyny biorą udział w międzyszkolnej rywalizacji drużyn pancernych. Tak zarysowana fabuła ma potencjał i budzi nadzieje, ale pierwszy odcinek serialu tych nadziei nie spełnia. Dzieje się tak z bardzo prostej przyczyny: w tym odcinku niemalże nie ma czołgów!

» Falconek

Pojazdy pancerne pojawiają się jedynie na początku odcinka, w scenie, która, jak się później okaże, przedstawia bitwę mającą rozegrać się w przyszłości i później w krótkiej prezentacji dla uczennic. Poza tymi dwoma momentami widzimy jedynie sceny z codziennego życia licealistek, które,

choć dialogi są chwilami zabawne, to ogólnie są jednak nudne. Oczywiście, odcinek spełnia funkcję prezentacji postaci, ich motywacji i realiów świata, w którym funkcjonują, ale być może dałoby się zrobić to w bardziej interesujący sposób. Tymczasem na przestrzeni dwudziestu minut dowiadujemy się jedynie, że bohaterki są typowymi średnio rożgarniętymi nastolatkami, których tematy rozmów prowadzą się do chłopaków, lekcji i czasami jedzenia. Dobrze, że przy okazji poznajemy również wycinek przeszłości głównej bohaterki, której, jak się okazuje, czołgi nie są tak obce, jak mogłoby się to na początku wydawać.

Uważam, że pierwszy odcinek serialu powinien prezentować wszystko to, co serial będzie miał najlepszego. Tutaj tak się nie dzieje, tym niemniej radzę nie zniechęcać się do całości na podstawie tego jednego epizodu, albowiem kolejne są znacznie lepsze – są w nich czołgi.

Girls und Panzer – recenzja odcinków 8 i 9

Odcinki ósmy i dziewiąty serii opowiadają o starciu głównych bohaterek ze stylizowaną na Armię Czerwoną drużyną Pravda. Początek to prezentacja postaci Katyushy i Nonny, czyli dziewczyn dowodzących Pravdą i zarazem postaci, które później okażą się jednymi z największych zalet tego odcinka. Później następuje kilka minut scen z życia licealistek, czyli nudy – ten epizod, w przeciwieństwie do niektórych innych, nie jest aż tak obfity w zabawne rozmowy podczas posiłków czy innych codziennych czynności.

» Falconek

W końcu jednak dostajemy to, co w tym serialu najlepsze, czyli bitwę pancerną – o wysoką stawkę, albowiem dziewczyny walczą o wejście do finału. I bitwa ta była świetna. Na jej wstępie, podczas przezabawnej sceny powitania drużyn, Katyusha w pełni prezentuje swoją uroczą osobowość zakompleksionego i aroganckiego bufona. Nonna



natomiast jest swego rodzaju głosem rozsądku, z rezygnacją znoszącym fanaberie swojej dowódczyni. Wspólnie tworzą zabawne duo, które nadaje charakter „sowieckiej” drużynie. Nie można tu nie wspomnieć o śpiewanej przez Prrawdę piosence, która podbiła serca kilku osób z redakcji ET.

Początek bitwy jest miły każdemu fanowi militariów, ponieważ obydwie strony, zwłaszcza Pravda, używają swoich czołgów w realistyczny sposób. Na skutek pierwszego starcia dziewczyny z Ooarai wpadły w zasadzkę i zostały otoczone. W tych scenach widz dowiaduje się, o jaką stawkę naprawdę toczy się gra – nie chodzi tylko o zwycięstwo w turnieju. Jest też piękny moment budowania ducha zespołu Ooarai oraz kolejne świetne występy Katyushy i Nonny. Finałem starcia jest podjęta przez główne bohaterki próba wyrwania się z okrążenia i zniszczenia flagowego czołgu Pravdy. W tej scenie potyczka ma przebieg typowy dla serialu: mamy efektowne manewry czołgami, unikanie strażów, poślizgi i dużo chaosu. Z realizmem nie ma to wiele wspólnego, ale jest zabawne, a flagowy czołg „czerwonych” zostaje trafiony w bardzo efektowny sposób.

W moim przekonaniu są to dwa najlepsze odcinki w serii. Czy pisałem już, że Katyusha i Nonna są genialne? Pozostałymi mocnymi stronami tych odcinków są trzymający w napięciu i całkiem sensowny przebieg bitwy oraz interakcje pomiędzy członkiniami drużyny Ooarai, kiedy zaczynają rozumieć, o co walczą.

Rozważania

o ścieżce dźwiękowej

Skoro znaczną część naszej redakcji dopadł szal na „Girls und Panzer”, to i ja dorzucę kilka słów od siebie. O tym anime słyszałem od jakiego czasu, ale jakoś nigdy nie mogłem się zebrać, żeby je obejrzeć. W każdym razie na początku roku zaczęto je u nas propagować – głównie robiła to Cahan, która zakochała się w „Katuszy” – i w końcu zmusiłem się, by również to obejrzeć. Co najzabawniejsze – spodobało mi się.

» Dolar84



Zanim jednak zacznie się rzucanie różnymi argumentami, na jakim to absurdalnym założeniu oparty jest sens tego wynalazku, to jasno należy stwierdzić – i o to właśnie chodzi! Jeżeli ktoś chciałby przyłożyć do siebie logikę i „Girls und Panzer”, to te dwa obrazy praktycznie nigdzie by się ze sobą nie pokrywały. Mamy tu do czynienia wyłącznie z czystą rozrywką, przy której można spokojnie odłączyć myślenie i zwyczajnie się zrelaksować. A w tym pomagają całkiem widowiskowe bitwy, przerysowane do granic postacie, zadziwiająco dokładnie odwzorowane czołgi z czasów drugiej wojny światowej i przede wszystkim muzyka.

Na tym zresztą chciałbym się skupić w swoim krótkim dodatku do redakcyjnej oceny, gdyż w mojej opinii właśnie ścieżka dźwiękowa jest najmocniejszym elementem tego anime. Znajdziemy w nim nie tylko sporo doskonale pasujących do poszczególnych scen kompozycji własnych, ale przede wszystkim zaadaptowane wersje klasycznych marszy i pieśni wojskowych. Przyznaję bez bicia, iż praktycznie każda została umieszczona w idealnym dla siebie miejscu. Bo czyż może być coś lepszego niż nocny obóz radzieckich czołgów, który obserwujemy do wtóru dźwięków „Poluszko-pole”? A czy jest odpowiedniejsza melodia dla czołgów brytyjskich niż „British Grenadiers”? Stada amerykańskich shermanów przemieszczają się przy „The Battle Hymn of the Republic”, a włoskie maszyny płoną, kiedy z głośników leci „Il canto degli Arditi”.

Przysłowiową wisienkę na torcie stanowią jednak utwory niemiecki i radziecki. Ten pierwszy to rzecz oczywista „Panzerlied” – kto oglądał stary film wojenny „Bitwa o Ardeny”, z całą pewnością natychmiast po usłyszeniu pierwszych taktów tego wspaniałego marsza zacznie wybijać rytm obcasem i śpiewać. Niestety (albo stety) w anime nie zdecydowano się na dodanie wokalu. Chociaż

może to i dobrze, gdyż do niego zdecydowanie potrzebne są męskie głosy. Na całe szczęście nie dotyczy to największego muzycznego hitu „Girls und Panzer” czyli „Katuszy”. Tutaj damskie wokale śpiewające ten nieśmiertelny przebój (po rosyjsku z japońskim akcentem) brzmią po prostu uroczo. Pamiętajcie jednak o jednym – jeżeli zdecydujecie się oglądać ten cudowny absurd, to róbcie to bez angielskiego dubbingu – w tej wersji z powodów prawnych „Katusza” musiała zostać zastąpiona przez „Korobeiniki”. Tak, to muzyczka z „Tetrisa”. I chociaż również jest to ładny utwór, to jednak w porównaniu do tego z japońskiej wersji przegrywa porównanie na każdym polu.

Na tym zakończę swoje rozważania o ścieżce dźwiękowej GuP, żegnając się z czytelnikami niezastąpionym „Panzer Vor!”.

Ocena wszystkich odcinków

Podczas jednego spotkania ze znajomymi, pokazano mi na YouTube piosenkę „Katusza” śpiewaną przez dziewczynki w czołgach. Słowa po rosyjsku, japoński akcent i przyjemna kreska sprawiły, że nabrałam wielkiej ochoty, by obejrzeć całe „Girls und Panzer”. W końcu czołgistki w minispódniczkach to niewątpliwie dzieło geniuszu. Nie oczekiwałam po tym anime wiele, chciałam się zwyczajnie pośmiać. Cóż, uśmiełam się i to jeszcze jak, ponieważ „Girls und Panzer” okazało się naprawdę dobre.

» Cahan

Odcinek 1

Cóż, oceniam go zdecydowanie negatywnie. Był nudny, a głupawy humor wkurzał. Postacie dziewczyn z Ooarai High School wydały mi się płaskie, a fabuła idiotyczna. Do tego wkurzała mnie główna bohaterka Miho Nishizumi, która bardzo przypominała swoim zachowaniem naszą Fluttershy. Jest nieśmiała, strachliwa i lubi wydawać z siebie dziwne odgłosy, które chyba miały być urocze. Do tego pochodzi z rodziny znanej z jazdy czołgiem, jednak sama Miho ma uraz do wozów pancernych i przeniosła się do Ooarai ze szkoły dla nazistowskich czołgistek, gdzie wciąż uczy się jej starsza siostra, tylko dlatego by móc rozpocząć normalne życie nastolatki. Oczywiście zaraz po przybyciu Miho Ooarai High School wznawia dywizję pancerną, a samorząd szkolny dokonuje na Nishizumi szantażu i zmusza ją

do zostania czołgistką. Coś jeszcze? Tak, Miho ma dwie nowe koleżanki: Saori Takebe i Hanę Isuzu. Saori jest desperatką, której brakuje chłopca i głosi sposoby na podryw rodem z „Bravo Girl”, zaś Hana jest ładna, spokojna i nijaka.

Odcinek 2

Dziwię się, że po pierwszym odcinku nie porzuciłam „Girls und Panzer”, ale jeszcze bardziej się dziwię, że nie zrobiłam tego po drugim, ponieważ był on niesamowicie idiotyczny. Dziewczyny szukają czołgów po całym szkolnym statku, ponieważ są one poukrywane. Czołgi pochowane w szkole, która nawet sama nie wie, czym dysponuje. Litości. Potem bohaterki naprawiają maszyny poprzez umycie ich i nawalenie poduszek, co by się wygodnie siedziało.

Odcinek 3

Ciągle słabo. Saori liczy, że nowy instruktor będzie przystojny i sexy, ale niestety ten okazuje się być kobietą stosującą ciekawe metody nauczania, ponieważ od razu każe dziewczynom przejść do rzeczy, czyli pozorowanej bitwy czołgów. W efekcie walczyć będą: kółko historyczne, klub siatkarek, samorząd szkolny, pierwszoklasistki oraz drużyna Miho, składająca się z niej, Saori, Hany oraz laski z fetyszem na punkcie czołgów, czyli Yukari, a także z wiecznie niewyspanej Mako. Dochodzi do bitwy i zgadnijcie kto wygrał... Tak, zgadliście, nasze kochane Mane 5. Dowiadujemy się też, że w następnym odcinku drużyna Panzer IV będzie walczyć z Żeńską Akademią Świętej Gloriany.



Odcinek 4

Dziewczyny odpicowały czołgi, by się świeciły niczym diamentowemu psu klejnoty oraz stanęły do przyjacielskiej bitwy przeciwko innej szkole. Miho i spółka muszą pokonać Akademię Świętej Gloriany, której uczennice są stereotypowymi Brytyjkami. Piją herbatkę i są spokojne. Sceny walki na początku były takie sobie, ale potem... Potem poczułam się jakbym sama kierowała czołgiem i strzelała do wroga, tak, może i wozy pancerne w „Girls und Panzer” poruszają się zbyt dynamicznie, niemniej jednak nie uważam tego za wadę. Zostało to wspaniale zanimowane, a znakomita ścieżka dźwiękowa sprawia, że ogląda się to z przyjemnością. No i wielki plus za to, że głupota bohaterek w końcu została należycie nagrodzona.

Odcinki 5-6

Dopiero tu zaczyna się prawdziwe „Girls und Panzer” z tym wszystkim, dzięki czemu to anime daje więcej radości niż pastelowe taborety. Szkoła Ooarai bierze udział w krajowych zawodach czołgistek, co od tej pory stanie się osią fabularną serialu. Pierwszym poważnym przeciwnikiem dziewczyn ma być obrzydliwie bogate liceum w stylu amerykańskim. Dowodzi nimi sympatyczna blondynka imieniem Kay, która jest równie przyjacielska co Pinkie Pie i uczciwa jak Applejack. Nie była zła na Yukari za szpiegostwo, a na dodatek postanowiła walczyć uczciwie. I walczyła. Babcia Mako trafia do szpitala, a panna Reizei dostaje się tam dzięki dobroci nazistowskich czołgistek, które użyczają samolotu. Uroczę, prawda?



Odcinki 7-9

Cóż, to zdecydowanie moja ulubiona część całego „Girls und Panzer”, a to za sprawą nowego przeciwnika dziewczyn ze szkoły Ooarai. Sowieckie czołgistki ze szkoły Pravda to najmocniejszy punkt tego anime. Dowódczyni Katyusha i wicedowódczyni Nonna to niezwykle ciekawe postacie. Kasieńka jest mała, dziecinna, ma ostro zakończony ząbek i kompleks Napoleona. Tymczasem Nonna jest rozsądna, miła, opanowana i sprawia wrażenie chłodnej jak syberyjska tajga. Te dwie pannice zdecydowanie skradły moje serce, są po prostu zabawne już jako bohaterki. W dodatku strategia, jaką przyjmuje Pravda jest dużo ciekawsza od tego, co oferowały licea Saunders i Święta Gloriana. Katyusha zdecydowanie zna się na dowodzeniu, za co wielki plus dla twórców, że nie zrobili z niej niekompetentnej idiotki. I choć po zaciętej bitwie, którą oglądało się z przyjemnością, Ooarai wygrało, to mimo wszystko to właśnie sowieckie czołgistki udowodniły swoją wyższość. A „Katusza” śpiewana po rosyjsku z japońskim akcentem to mistrzostwo świata i coś, za co to anime ma u mnie instant 10/10.

Odcinki 10-12

Zacznę od tego, że po poprzednich zwycięstwach, wszyscy pokonani zaprzyjaźnili się z dziewczynkami z Ooarai i teraz im kibicują, komentują mecze, no wiecie – kwiatki, tęcza, jednorożce. Trochę jak w MLP:FiM, tylko że tu twórcy nie zrobili tego na poważnie. Całe to anime nie ma w sobie za grosz powagi. No, ale dobrą, w końcu doszliśmy do wielkiego finału, w którym Miho Nishizumi będzie walczyć przeciwko swojej siostrze. Sprawa wydaje się być beznadziejna (bo jakżeby inaczej!), gdyż liceum Kuromorimine jest nie tylko świetnie wyszkolone, ale i doskonale wyposażone. Cóż, były tygrysy, był maus, był i słynny drift czołgiem. Czego tu chcieć więcej?

Ogólnie o „Girls und Panzer”

To anime jest absurdalne i niedorzeczne. Opowiada o licealistkach w minispódniczkach, które jeżdżą drugowojennymi czołgami, ponieważ dzięki temu zostaną dobrymi żonami i matkami. Niestety nikt nie ginie, a po trafieniu w czołg wyskakuje z niego biała chorągiewka. Większość bohaterów jest płaska i wkurzająca, w serialu nie ma antagonistów. Jednak przeciwniczkom panzer IV kibicowałam o wiele bardziej niż samym licealistkom z Ooarai.

Cały ten absurd to jednak zabieg celowy, dlatego głupia filozofia jazdy pancерnej, różowe czołgi i drifty naprawdę bawią. Kreska jest ładna, przyjemna dla oka, a same czołgi narysowane bardzo poprawnie i szczegółowo. Bohaterki „Girls und Panzer” pomimo mangowego stylu prezentują się całkiem naturalnie. Sceny walki potrafią porwać i wciągnąć, choć mają raczej mało wspólnego z realizmem. Pomaga w tym niesamowita ścieżka dźwiękowa, która wpada w ucho i doskonale się komponuje z tym, co się dzieje na ekranie.

„Girls und Panzer” nie jest poważne i nawet nie próbuje takie być. Jest przy tym bardzo niewinne, poza scenami kąpielowymi, które nie pokazują za dużo, brak w nim nagości. Minispódniczki wszystko zasłaniają, a piersi nie wypływają na powierzchnię. Całość opiera się właśnie na kontraście pomiędzy niewinnymi dziewczynami a pojazdami pancernymi. I ja to kupuję, mnie to osobiście bawi. Dawno nie widziałam tak pozytywnej produkcji jak to anime. Dlatego gorąco polecam każdemu na poprawienie humoru.

Recenzja „Girls und Panzer”

Czy można połączyć czołgi, bitwy pancerne, licealistki w minispódniczkach i fabułę rodem z anime o drużynach sportowych w spójną całość? „Girls und Panzer” udowadnia, że jest to możliwe. Żeńskie liceum Ooarai proponuje swoim uczennicom naukę jazdy czołgiem. Jak przekonuje dyrekcja szkoły, opanowanie trudnej sztuki „czołgingu” ma pomóc młodym dziewczętom stać się lepszymi żonami, matkami i paniami domu. Brzmi absurdalnie? I dobrze, bo przed rozpoczęciem seansu GuP logikę i powagę należy zawiesić na kołku.

» Falconek

Akcja serialu rozkręca się powoli. Przez pierwsze dwa odcinki widzowie raczeni są scenami z codziennego życia piątki niezbyt rozgarniętych nastolatek: nieśmiałej Miho, marzącej o znalezieniu chłopaka Hany, wyważonej Saori, humorzastej i wiecznie zaspanej Mako oraz entuzjastycznej Yukari. Tak, nie należy się spodziewać postaci o złożonej osobowości, a na czołgi

trzeba poczekać do trzeciego odcinka.

Fabuła jest prosta i skupia się na międzyszkolnym turnieju, w którym reprezentacja Ooarai nadrabia brak doświadczenia własną determinacją. Jest to więc typowe anime sportowe, ale zamiast siatkówki czy piłki nożnej mamy bitwy pancerne toczone przy pomocy bezpiecznej amunicji. I jakie to są bitwy! Nie uświadczymy tu realistycznej taktyki, czołgi poruszają się zwinnie niczym zabawkowe, zdalnie sterowane samochodziki, wpadają w efektowne poślizgi, a ich załogi w bardzo nieszablonowy sposób wykorzystują przeszkody terenowe. Każdy z zespołów, z którymi ściera się drużyna Miho, odzwierciedla jedną z armii walczących w czasie II Wojny Światowej. Tutaj twórcy serialu postarali się i zadbali nawet o to, aby muzyka była dopasowana do narodowości drużyny: szkoła St. Gloriana rusza do boju w takt „The British Grenadiers”, szkoła niemiecka ma „Panzer Lied” a śpiewana przez radziecką Pravdę „Katiusza” stała się nieomal hymnem redakcji ET.

Jeśli chodzi o same czołgi, to jest dobrze. Są rysowane z dbałością o detale, nazewnictwo jest poprawne, a postacie wykazują się w dialogach sporą wiedzą na temat swoich pojazdów. Humor trzyma wysoki poziom, a wiele wypowiedzianych kwestii sugeruje, że również twórcy dobrze się bawili. Szczególnie zapada w pamięć duet dowodzących Pravdą: Katyusha i Nonna. Ta niedopasowana para (jedna arogancka i głośna, druga spokojna i opanowana) spowoduje niejedną wybuch śmiechu.

Co więc o tym wszystkim myśleć? Dla mnie „Girls und Panzer” jest doskonałym, zabawnym odmóżdźczaczem, a czołgistki w minispódniczkach śmiało mogą konkurować z pastelowymi konikami. Co gorsza, serial ten jest równie zaraźliwy jak „Friendship is Magic”: jeśli zaczniecie oglądać, nie będziecie mogli przestać.



MANAD.PL

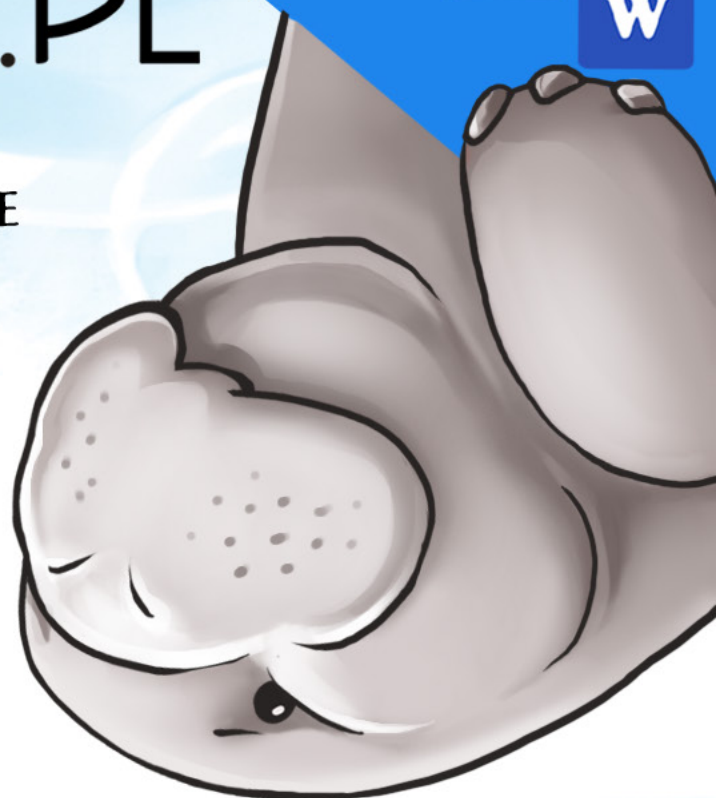


**W NASZYM SKLEPIE ZNAJDZIECIE WIELE
INTERESUJĄCYCH GADŻETÓW!**

**REALIZUJEMY ZAMÓWIENIA
Z WŁASNYM WZOREM NA:**

- **PODKŁADKI**
- **PRZYPINKI**
- **NASZYWKI**
- **KOSZULKI**
- **KUBKI**

I WIELE INNYCH!



**WSPIERAMY OD STRONY
TECHNICZNEJ ORGANIZACJĘ
IMPREZ TYPU MEET/KONWENT
O DOWOLNEJ TEMATYCE**

WYPOŻYCZAMY TEŻ SPRZĘT:

- **KONSOLETY/MIXERY**
- **NAGŁOŚNIENIE**
- **OKABLOWANIE**
- **OŚWIETLENIE**
- **MIKROFONY**



Sunriser

Autor: KingofHills
[Adventure][Violence][Crossover]

W bardzo, bardzo dalekiej przyszłości, wiele lat świetlnych od magicznej krainy Equestrii...

Kapitan Starshine Shield spoglądał gorączkowo na aktywną makietę pola bitwy. Sytuacja nie prezentowała się kolorowo. Oto jego lotniskowiec szturmowy ESS „Sunriser”, nazwany na cześć niegdyś panującej, wielkiej Władczyni Słońca Celestii, okrążany był z wielu stron przez wroga. Do dyspozycji miał zaledwie dwa sojusznicze krążowniki, ledwie trzymającego się, zmechanizowanego snajpera, dwie jednostki wsparcia, jedną ciężko opancerzoną, a także jednego mecha szturmowego – wszystkie typu Ryder.

Przeciwno sobie zaś mieli szturmowy lotniskowiec, dwa lotniskowce zwykłe, kilka fregat, trzy ciężkie bombowce rozstawione bardzo daleko od siebie, dwie jednostki wsparcia oraz mnóstwo ryderów różnej maści.

– Sekcje trzydziesta druga, sześćdziesiąta oraz druga odniosły uszkodzenia! – zawiadomiła Crescent Moon, pegaz i zarazem pierwsza oficer equestriańskiego lotniskowca, gdy potężny huk rozległ się niedaleko mostka. – Kapitanie, rozkazy!

Starshine miał niemały mętlik w głowie. Za dużo wrogów, za mało środków. Gdyby tylko mógł choć na chwilę zatrzymać czas i pomyśleć... przeanalizować sytuację, odpowiednio dobrać taktykę, wyeliminować najgroźniejsze bądź najłabsze ogniwa. Lecz tymczasem działa i lasery wroga niemiłosiernie uderzały o kadłub, coraz bardziej grożąc zniszczeniem statku.

Weź się w garść, pomyślał Shield, jednorożec szarej maści o białej, średniej długości grzywie. U boku widniał jego znaczek: tarcza niczym ze starych, przedgwiazdnych czasów, otoczona energetyczną barierą – wynalazkiem znacznie nowszej ery. Bywał już w gorszych tarapatkach.

Trudno było o bardziej trafne stwierdzenie. Ile razy zdarzało się już, że załoga „Sunrisera” harowała ponad swoje możliwości tylko po to, by nie zginąć marnie na polu bitwy? Jak często członkowie okrętu ledwo uchodzili z życiem przez niesprzyjające warunki? Nie wspominając już o różnorodnych eskortach ważnych celów, gdy absolutnie najważniejszym zadaniem była ochrona ich przed wrogą armadą?

Zaprawdę, ciężko było zliczyć wszelkie momenty grozy. Lecz zawsze, ale to zawsze dawało się znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie inaczej było i w tym przypadku. Jak zawsze, wróg przewyższał ich liczebnie... ale niekoniecznie jakościowo.

Shield wiedział już, co robić. W przypadku wojny podjazdowej niezawodna okazywała się taktyka ognia skoncentrowanego. Im większy i niebezpieczniejszy był cel, tym bardziej koncentrowano na nim ostrzał. Opłacało się zatem wydawać ciężko zarabianą walutę na najświeższe nowinki prosto ze świata techniki: system celowania dział kinetycznych, eksperymentalna amunicja, ulepszone generatory osłony przeciwlaserowej czy dodatkowe uzbrojenie w postaci niszczyielskich torped były tylko kilkoma przykładami tego, jak Sunriser mógł lepiej przygotować się do bitwy. Nie dotyczyło się to zresztą tylko głównego statku, ale także jednostek wspomaganiania i innych ryderów.

– Przygotować się do wystrzału z dział kinetycznych! – zarządził jednorożec. Pierwsza oficer

zasalutowała, przekazując rozkaz dalej, do wszystkich kuców na statku.

– Celować w ich główny lotniskowiec!

W ruch poszły kopyta. Celowniczy skalibrowali celowniki, mierząc w masywną, acz odległą sylwetkę flagowego okrętu oddziałów wroga. Przy odrobinie szczęścia udałoby się go zniszczyć jedną celną salwą.

– OGNIA!

Ogromny, rozdzierający huk wydobył się z luf czterech potężnych dział, wysyłających jednocześnie niszczycielskie pociski kumulacyjne. Shield patrzył, jak lecą nieuchronnie w stronę wrogiemu statku, niezdolnego do manewrów unikowych. Parę sekund później z mostka dało się zauważyć odległą, acz sporą eksplozję.

– Trafienie! – potwierdziła Crescent Moon z lekkim uśmiechem. Pierwsza oficer nie była znana z wylewności i pozytywnych emocji. Mimo to, każde osobne trafienie we wroga wywoływało na jej pyszczku mieszankę tryumfu, zadowolenia i chłodnej afirmacji. Taki widok, choć niezmiernie rzadki ze względu na naturę klaczy, nie był niczym nowym na polu bitwy.

Nie był to jednak, oczywiście, koniec bitwy. Sam lotniskowiec wroga nie został w żadnym wypadku zniszczony. Jednak uszkodzony generator osłon, pożar jednego z silników oraz generalne uszkodzenia z pewnością pomogły ekipie „Sunrisera”.

Shield spojrzął raz jeszcze na makietę pola bitwy. Na całe szczęście ogień wroga nie koncentrował się na jego mechu snajperskim, który raportował liczne uszkodzenia. Gdyby choć jeden zagubiony pocisk kinetyczny w niego trafił, drużyna protagonistów utraciłaby ważnego sojusznika, znaczną siłę ognia, a co najważniejsze – przyjaciółkę. Ta oto klacz stwierdziła jednocześnie gotowość do wykonania rozkazów. Nawet pomimo problemów, Celestial Streak gotowa była oddać strzał, zaś jeśli byłoby trzeba - życie, za swoich kompanów.

– Cele, postaraj się dobić systemy osłon wroga – powiedział spokojnie, lecz stanowczo kapitan Shield. Milcząc, klacz posłusznie wykonała rozkaz i oddała pojedynczy celny strzał w stronę uszkodzonego lotniskowca. Pocisk trafił niemalże idealnie w zewnętrzny generator osłon, pozabawiając wroga jakiegokolwiek ochrony przed pociskami magicznymi i zadając ogromne uszkodzenia.

– Doskonała robota! Royal, wykończ go! – zakomenderował kapitan, zwracając się do pilota rydera szturmowego. Royal Stream był z kolei ogierem, który nie bał się żadnego ryzyka. Zawsze skory do pomocy, skoczyłby nawet w ogień za swoim kapitanem. Aktualnie operował we własnoręcznie zbudowanym mechu szturmowym, z siłą ognia i manewrowością na tyle dużą, by w pojedynkę dać radę kilku słabszym jednostkom.

– Się robi, kapitanie! – odpowiedział przez interkom kuc ziemny, podlatując bliżej pomimo stałych salw z działek i laserów wroga. Jako że osłony przeciwoenergetyczne celu przestały istnieć, można było bezproblemowo strzelać magicznymi działami laserowymi bez obaw, że odbiją się od wroga niczym od bańki. Dzięki brakowi odrzutu broni magicznej o wiele łatwiej było też wycelować; toteż Royal zdziwił się niezmiernie, gdy wystrzał... spudłował. Przeleciał dosłownie parę metrów obok, w kosmiczny eter, znikając z pola widzenia.

– No chyba sobie żartujecie! – jęknął do siebie, zmuszony do chyżego i dość chaotycznego odwrotu przez narastający ogień wroga.

– Kapitanie, melduję brak trafienia! – potwierdziła Crescent Moon, marszcząc czoło na widok

lotniskowca, który – choć dymiący – zdawał się odzyskiwać swoją barierę. – Musimy szybko pokonać flotę wroga, kapitanie. Obawiam się, że inaczej niewiele z nas zostanie.

Shield pokręcił głową z dezaprobatą. Jednostki przeciwników znajdowały się coraz bliżej, grożąc bezpośrednim trafieniem. Tylko usunięcie z gry ich lidera mogło w jakikolwiek sposób pomóc, a być może nawet i zakończyć bitwę. W tej sytuacji trzeba było postawić wszystko na jedną kartę... bardzo ryzykowną kartę.

– Odpalić torpedy.

Crescent spojrzała z lekkim zwątpieniem na kapitana, ale kiwnęła głową i wydała odpowiednie rozkazy. Nie było na „Sunriserze” broni potężniejszej od torpedy dalekiego zasięgu. Bardzo celne i niewiarygodnie potężne, miały jednak jedną zasadniczą wadę: były na tyle duże, że automatyczne systemy obronne z łatwością mogły je zniszczyć zanim doleciały do celu.

A teraz wszystko zależało od tego, czy wrogie statki nie przechwycą torpedy, czy trafi ona do lotniskowca i czy zdoła go zniszczyć.

– Niech nas prakuce mają w opiece... – mruknął do siebie kapitan Shield, podnosząc wzrok z powrotem na makietę pola bitwy.

– OGNIA!

W pewnej chwili nastąpiła cisza, przerywana jedynie odgłosami wystrzałów wroga. Następnie długi, szorstki huk rozbrzmiał na całym głównym pokładzie Sunrisera: rakieta została wystrzelona. Wszyscy na mostku ze wstrzymanym oddechem wpatrywali się w małą, przemieszczającą się ikonkę na makiecie, która powoli, lecz stabilnie zbliżała się do flagowego okrętu wojennego przeciwnika. Ledwie minąwszy pierwszą linię obrony, ostatnia nadzieja z każdą sekundą była coraz bliżej swego celu.

Rakieta cudem minęła ostatnią linię obrony i leciała prosto w kierunku lotniskowca szturmowego wroga. W następnej chwili jedynym, co dało się zauważyć, był błysk. Oślepiające światło zasłoniło widok statku roztrzaskanego na małe kawałeczki wraz z towarzyszącymi mu, pozostałymi lotniskowcami, krążownikami oraz statkiem wsparcia.

Jednak nawet bez możliwości zobaczenia tego na własne oczy, załoga „Sunrisera” wiedziała, że się udało. Nie było lepszego wyznacznika sukcesu niż okręt obracający się w proch. Radosne okrzyki rozległy się na pokładzie całego okrętu. Oddziały wroga zaczęły się wycofywać. Strat nie odniesiono żadnych.

Niewiarygodne, jak bardzo szczęście potrafi przesądzić o wyniku bitwy.

– Melduj, Moon.

– „Sunriser” wymaga znacznych napraw na poziomie kadłuba, zwłaszcza na pokładach 1 i 2. Wszystkie rydery powróciły do swoich hangarów. „Liberator” odniósł nieznaczące obrażenia, nic, co mogłoby przeszkodzić w operacjach. Sugeruje się jednak przegląd techniczny – zaczęła

pierwsza oficer.

– „Feniks” oraz „Paladyn” odniosły liczne pomniejsze uszkodzenia pancerza, w dodatku serwo-motory u tego drugiego przestały należycie działać. Na czas napraw będzie niezdatny do walki. Z kolei „Serafin” wymaga sporych reperacji ze względu na usterki – kontynuowała, przeglądając raporty bitewne.

– Co z resztą oddziałów wroga?

– W rozsypce, kapitanie – stwierdziła krótko, uśmiechając się lekko, Moon. – Nie wiem, dlaczego krążowniki i bombowce nie kontynuowały natarcia, ale widać naprawdę wiele zależało od tego lotniskowca PACT. Pozostałe rydery poddały się i oczekują na transfer do najbliższego przyjaznego systemu w celu internowania.

Starshine Shield odetchnął z ulgą. Naprawdę mało brakowało do tego, aby ta bitwa zakończyła się kompletnie odwrotnie.

– Spocznij. Wykonaliśmy dziś kawał dobrej roboty – stwierdził, uśmiechając się do swojej zastępczyni.

– A i owszem... jeszcze chyba nigdy nie mieliśmy tyle szczęścia – odparła rzeczowo Crescent. – Musimy pomyśleć nad tym, aby w przyszłości mieć jakikolwiek plan zapasowy. A tymczasem... dokąd teraz, kapitanie?

Shield zawahał się chwilę. Okazji do walki było sporo, o wiele więcej niż do odpoczynku.

– Cóż... jako że Sunriser potrzebuje napraw, zamierzam udać się do najbliższego portu.

– Tak jest – odparła krótko pegaz i zaczęła odchodzić.

– Ah, Moon? – dodał jeszcze jednorożec. Adresowana klacz obróciła się w jego stronę.

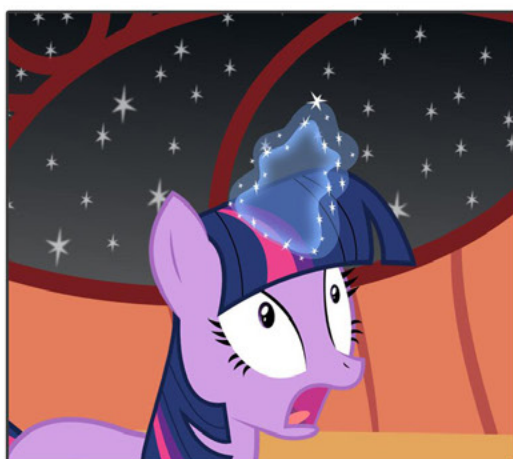
– Po naprawach udamy się na planetę Deimos.

Pierwsza oficer zmarszczyła brwi.

– Uzupelnienie zapasów? – zasugerowała. Shield tylko się uśmiechnął.

– Nie – stwierdził. – Lecimy na plażę.







MLP: FiM - Without Magic, Page 1.

Comic created by Bad Faerie

MLP: FiM property of Hasbro and associate rights holders.



TWILIGHT SPARKLE ZOSTAŁA ZMIENIONA W KUCYKA ZIEMNEGO PRZEZ KSIĘŻNICZKĘ CELESTIĘ. LECZ CZY TWILIGHT SPARKLE BEZ MAGII WCIAZ MOŻE BYĆ SOBA?







Czy jednorozec może wiedzieć, jak to jest być kucem ziemnym?

A może Twilight będzie tylko "zniedołężniatym" kucem ziemnym?

Osamotnionym w smutku i bez dostępu do magii?

Co z "pozostałymi" kucami ziemnymi?

Czy przyjmą ją jako swoją?

Czy Księżniczka Celestia posunęła się zbyt daleko i wystąpiła swoją uczennicę do zadania, które złamie jej ducha na zawsze?

Na odpowiedzi oczekujcie w części 3.



Po zamianie w kucyka ziemnego, Twilight Sparkle zastanawia się, co powinna teraz zrobić.





Czy kiedy
chciała, żebyś
poznala potęgę
przyjaźni,

Kazała ci
poczytać
teksty źródłowe
w bibliotece?



Nie żartuj, Spike.
Wysłała mnie do Ponyville.

Przyjaźń to
nie jest coś,
czego można
nauczyć
się z książek...
Och...



No właśnie.

Księżniczka
Celestia chce,
abyś podwinęła
rękawy i
zabrudziła sobie
kopyta.



Podwinęła
rękawy...

Zabrudziła
kopyta?



Abys nauczyła
się życia
ziemnych kuców
od nich samych.



Od... od nich
samych?



Czy Twilight Sparkle wraz ze swoimi przyjaciółmi odkryje, jak być kucem ziemnym?

I co z jej znaczkiem?

Czekajcie na część 4.



Po transformacji w kucyka ziemnego Twilight Sparkle szuka tego jednego kucyka, który według niej pomoże jej w rozpoznaniu jej sytuacji.





Czy Applejack będzie mogła pomóc Twilight w jej pogoni za znaczeniem życia ziemnego kucyka?

Czekajcie na część 5.



MLP: FIM, WITHOUT MAGIC - PART 5

Po zmianie w kucyka
ziemnego bez znaczka
Twilight Sparkle szuka
pomocy u swojej
przyjaciółki, Applejack.





Czekajcie na część 6.



MLP: FIM: WITHOUT MAGIC - PART 6

TWILIGHT SPARKLE PODAŻA DO FARMY SWEET APPLE, BY PROSIĆ APPLEJACK O POMOC W BYCIU KUCYKIEM ZIEMNYM.







Czekajcie na część 7.



MLP: FIM: WITHOUT MAGIC - PART 7



Czekajcie na część 8.



MLP: FIM: WITHOUT MAGIC - PART 8





Mysla, ze wszystkie kuce ziemne zajmują się polem i ze uprawiamy ziemie, bo nie możemy zrobić nic innego.

Jakbyśmy byli stworzeni do zbierania jabłek i ciągnięcia pługa.

Zajmuje się rolą, bo chce. Nie dlatego, że jestem kucem ziemnym lub nie nadaje się do niczego innego.

I nie muszę się zajmować rolą tylko dlatego, że jestem kucem ziemnym. Możesz być, kim chcesz, skarbie.

Dobra, będziesz tam siedzieć wiecznie?
Czy wyjdiesz i pozwolisz swojej podróbce przyjaciółki cię przytulić?

Skrzywyp
Bra



TROCHĘ PÓŹNIEJ.

Dzięki za świetne porady, jak żyć jako kuc ziemny.

Nie ma za co, cukiereczku.

Ciesz się, że wciąż ze mną gadasz po tym, co powiedziałam.

Nie znam żadnego nie-ziemnego kucyka, który miałby aż tyle wspólnego z kucami ziemnymi.

A i jak już tam idziesz, możesz odwiedzić Fluttershy.

Czekajcie na część 9.